

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII

Warszawa, dn. 16. XII. 1951 r.

Nr 50 (332)

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

NOWE BAŁUTY

Nowe Bałuty stawiając murarz
Wapno i zapal na kielni mieści,
Żeby zniknęła z mora ponura —
Kapitalistyczne przedmieście.

Któż nie pamięta zaułków Łodzi,
Po których twardo stukwały buty,
Kiedy o brzasku wstawały co dzień
Chojny, Karolew, Zarzew, Bałuty?

Z nor i poddaszy, z suteryn zgnyłych,
Z wyziewów nocy, z kaszlu gruźlicy
Szli, nateżając gniew swój i żyły,
Szli robotnicy.

Brama fabryczna paszczą rozwartą
Chłonęła ręce, ręce i ręce,
Ale się snuła z płótnem żakardów
Siła tysięcy.

Ona kazała pierś hardo przeżyć,
Kiedy w pochodzie sztandary nieśli...
Ona uczyła w walce zwyciężać
I łopotała w pieśni.

Strofa za strofą gonili jasno:
Budowały socjalizm,
Z tej to pieśni i walki powstanie miasto
Jakby z marzenia i stali.

Nasze robocze, nie fabrykanckie
Z każdym dniem, z każdą cegłą piękniejsze...
I śpiewające na krańcach
Golebiami na każdym piętrze.

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

WIOSNA PRZODOWNIKA

Przytulona kwiatami do muru,
miasto o wiosnie mówi grusza
jak plana najbielszej chmury,
w listeczkach wiatr się porusza.

Więc za nią sercem otwartym,
miasto zakwita ogrodem,
ptactwo się roi nad parkiem,
w kielichach kwiatów dziołbie.

Kwiat gruszy na mur rzucony,
wieńczy muskułów wysilek,
radośnie prężą się domy,
ulica w blaskach się myje.

Wracam do domu. Fabryka
wyróżniła mnie awansem,
lekko kieszeni dotykam,
na wyróżnienie swe petrze.

Na karcie zgłosi wyraźnie:
„Snowacz Sikora Ignacy,
normę przekroczył dziś właśnie,
przodownik pracy”.

LUDOWE DNI

Obywatelu! Sokołowski
nad bochnem chleba światłego dłoń,
już kwitną w polu spółdzielcze kłosy,
już rośnie z chlebem spółdzielczy dom.

Przerabając twardą walki siekierą
wyłom w zaporach na drogach wsi,
zieleń czerwienią nasza dopiero,
wyrósł fundament ludowych dni.

Znaliśmy smutną wiosnę w przyrodzie,
głódny przednówek chwastami rósł,
dziś inna wiosna z pola nadchodzi,
od serc przepływa w radosny puls.

Zupełnie inny tworzą krajobraz
niwy — tam wartki traktorów rytm
ożywia ciszę polną, gdzie oracz
pług w ziemię wciskał resztkami sił.

ane dziś drogi z chłopskiego domu,
proste gościńce prowadzą w świat,
jedynie czynem może dopomóc
bratu w ucisku, walczący brat.

Nie będzie kułak, ni kupczyk złodziej
zatrutym żądłem wysysał krwi,
wspólnota krzepnie, dojrzewa co dzień,
w płodozmianowej zieleni żył.

Wrogowie jeszcze w zapłociach radzą,
lecz w coraz cichszy przechodzą szepć,
a na wieś ranne słonko sprowadza
wspólnej nadziei jutrzejszy śpiew.

Obywatelu! Sokołowski,
nad bochnem chleba światłego dłoń,
okwitły w polu spółdzielcze kłosy
wołają echa z sąsiedzkich stron.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Z doświadczeń pisarzy łódzkich

Są dwa zasadnicze względy, które upoważniają nas do zabrania głosu na temat pracy, osiągnięć i niedomagań łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Mamy przed sobą grupę pisarzy nazwaną przez sekretarza generalnego ZLP kol. J. Putramenta — przodującą, a przecież równocześnie — trochę jakby niedocenianą. Jest chyba oczywiste, że obok tej grupy pisarzy liczącej ponad 60 osób i około 20 pisarzy z Koła Młodych nie mogą przebiec obojętnie ani prasa literacka, ani łódzkie dzienniki. Tak się też w części dzieje. Piszemy właśnie z racji bardzo żywej i stale pogłębiającej się współpracy łódzkich pisarzy z naszym tygodnikiem.

Pisarze ci odbyli niedawno naradę wespół z dziennikarzami, przedstawicielami Partii, radia, prasy literackiej i codziennej, z aktywnym świetlicowym, pierwszą w dziejach tego największego w kraju ośrodka robotniczego naradę, poświęconą stanowi literatury w Łodzi i rejonie jej oddziaływania. Zainicjowała więc sytuacja szczególnie prowokująca do zbilansowania „blasków i cieni” pracy literatów Łodzi.

Jest wszakże drugi i bodajże ważniejszy względ przemawiający za koniecznością przyjrzenia się pracy łódzkiej grupy literatów. To już dziś zupełnie oczywiste, że pisarz powinien ponosić odpowiedzialność za przemiany zachodzące w jego kraju, przyspieszać rewolucję społeczno-kulturalną tak, jak przyspieszają budowę fundamentów socjalizmu setki tysięcy łódzkich robotników. I tu od razu powiedzieć trzeba, że pisarze łódzcy należą w pewnym sensie do uprzywilejowanych. Na ich bowiem terenie występuje wyposażona w szczególnie bogate elementy walka, że użyję tu znanego określenia — „starego z nowym”.

Oto przed nimi miasto odbijające w strukturze zabudowy potworne sprzeczności epoki kapitalizmu. Obok pałaców, których w dniach strajków i rewolucyjnych walk strzegł wprawdzie carski strażnik, a później granatowy policjant — robotnicze ulice na których lata się krew, ulice zastępy, niezmiennie od dziesiątków lat. Drzemają tu stale jeszcze ręka artysty w pełni nie pokazane dzieje walk klasowych. Przed nimi miasto, w którym epoka Planu 6-letniego odkrywa coraz to nowe karty wspólczesnej historii. Każdego niemal mieszkańca wprowadzają się do pięknego mieszkania na Nowych Bałutach, czy Stokach — dziad, ojciec i syn — robotnicy. Trój pokoleniowa rodzina robotnicza, trzy etapy rewolucyjnego ruchu — oto temat, którego tylko pisarzom łódzkim pozostaje.

A łódzka wieś? Bogate, kułackie gminy w Łowickiem, obok — biedniacy rejon Piotrkowa. Przed laty, biedny praktykant koleją na odcinku rógów — Płyćwia, Władysław Reymont — kreślił dramaty rodzinne chłopstwa proletaryzowanego, spychanego na dno nędzy i poniewierki przez kapitalistyczny ustrój. Dziś obserwujemy literat tej ziemi porównując, druga część historii chłopów. Na jego oczach niejedną Tomka Baran, najbiedniejszy z biednych, najsilniejszy upokorzony ze wszystkich upokorzonych, znalazł rozwiązanie sprzeczności życiowych przez budowę i uruchomienie kombinatu piotrkowskiego. Oto rzeczywistość obiecana przez klasę robotniczą ziemi!

Pisarze łódzcy, jak wszyscy inni, może tylko w oparciu o bardziej sugestywny konkret, którego — jakże obficie — dostarcza ich teren, mogą i powinni znaleźć literacki, artystyczny wyraz dla walki i rozwoju pracującego ludu.

Słyszano się już wcześniej a i teraz jeszcze słyszy, że Łódź to miasto przez pisarzy „niekochane”. Obśledli ją w pierwszym roku po wyzwoleniu najlepsi literaci, pracownicy nauki, wychodzący tu pisma literackie — „Kuźnica” i „Wies”, satyryczne — „Szpilki” i „Różgi”, zakosztowało miasto słodczy oglądania najlepszych teatrów. A później począwszy od roku 1948 — rozpoczął się exodus czynników kultury, jej twórców, z największego w kraju robotniczego miasta. Wyjechały redakcje pism literackich, przeniosły się do Warszawy niektóre teatry, nastąpił także pewien odpływ sił naukowych z wyższych uczelni. Pozostała na miejscu nieliczna stosunkowo grupa 65-ciu pisarzy, 6-krotnie mniejsza liczebnie niż warszawska, mniej nawet liczna niż krakowska.

A jednak od kilkunastu miesięcy obserwujemy stały, choć może nie dość szybki rozwój tradycji literackiej robotniczego miasta. Łódź prze-



Foto WAF

stała być „niekochana”, pokochał ją pisarz, często z dalekich stron tu przybyły, który związał swoją twórczą pracę z miastem i terenem jego oddziaływania, nie zaniedbując przy tym problematyki literackiej związanej z jego nowymi, rodzinnymi stronami. Tradycja ta, zapewne jeszcze wątła, niemniej jednak wyraźna już i cenna, godna jest serdecznego i szerszego skwitowania. Pamiętajmy bowiem, że pisarze z tych stron próbują przekreślić szkodliwą opinię jakoby istniała stoleczna, oficjalna i obok niej — uboga siostrzycka — prowincjonalna literatura. A chcą pokazać, że pisarz łódzki — znaczy polski.

Wyobraźmy sobie taką sytuację: oto jest nasz polski, przeciętny czytelnik spoza łódzkiego rejonu, a my — usiłujemy, przy pomocy tego co literaci napisali pokazać historyczną i współczesną problematykę robotniczego miasta i jego chłopskiej okolicy.

Pewno, że będzie co pokazać, ale też potrzeb naszego czytelnika w pełni nie zaspokojimy. Pewno, że cykl powieściowy L. Gomolickiego, drukowany na łamach „Głosu Robotniczego” zapozna go z rewolucyjnymi tradycjami proletariatu łódzkiego, pozwoli je odnieść i związać z walkami całego polskiego i rosyjskiego proletariatu. Sylwetki SDKPiL-owców Jerzego Millera, drukowane częściowo w „Wsi”, uplastycznia, skonkretyzują obraz robotniczego bohatera sprzed 50-ciu lat. Ale już okres międzywojenny to prawie biała i niezapisała karta. Powieść W. Paucłaka i reportaż B. Lesmana nie mogą przecie tej luki wypełnić.

A powojenna problematyka? Są poematy W. Słobodnika i J. Koprowskiego o Łodzi, są trzy ukończone już powieści: Edwarda Szustera — „Bitwa o Bałecerkę”, H. Ozogowskiej — „Na Karolewie” i W. Paucłaka — „Ludzie bawelnianej fabryki”. Pracuje nad wykończeniem powieści o piotrkowskiej fabryce — „Hortensja” — Seweryna Szmaglewskiego, zasiadł już J. Miller do powieściowego opracowania dziejów łódzkiego ZWM-u. Wiersze G. Timofiejewa, M. Ochockiego, M. Piechały, J. Czarnego, T. Chrościelewskiego, T. Giegiera i innych dopełniają całości.

Niecierpliw czytelnik chętnie poczekają na zapowiedziane powieści (żadna z nich nie wyszła jeszcze drukiem) tym bardziej, że nie ma innego wyjścia, orzeknie może, że poezji o wielkim mieście robotniczym stanowczo za mało, ale na pewno zawstydi, jeżeli niebacznie spyta o reportaż fabryczny, ów konkretny jak żaden inny, bezpośredni z rzeczywistością związany gatunek literacki. Reportaż niezapewne wprawdzie, ale jednak w znacznej mierze określa dyspozycyjność pisarza, to jest — jego zdolność do uchwycenia

w artystycznym wyrazie bardziej pasjonujących i ważnych na danym etapie wydarzeń. Przyrównywano nie bez słuszności reportaży do literackiego notatnika agitatora. Gdzież bowiem jak nie w tym przede wszystkim gatunku szukać należy wypełnienia roli pisarza jako agitatora. Tymczasem poza udanymi próbami W. Rymkiewicza i B. Lesmana — nie będzie o czym mówić.

Wskazując na brak reportażu fabrycznego nie czynimy tego po to, by sugerować jakieś większe czy mniejsze oderwanie pisarzy łódzkich od terenu. Jest raczej przeciwnie, bo o zamierzamy powiedzieć w dalszym ciągu, o stosunkowo pomyślnym rozwoju tego cennego gatunku literackiego w zakresie problematyki wiejskiej. Ale to — rzecz prosta — nie usprawiedliwia braków na odcinku robotniczym.

Gdyby nasz czytelnik zapytał z kolei o pracę literatów, poświęconą zagadnieniom wsi, przedstawilibyśmy mu stan daleko lepszy niż w wypadku miasta i klasy robotniczej. Starsi, bardziej doświadczeni pisarze, że wspomnimy tu S. Piętała, J. Koprowskiego, W. Rymkiewicza, T. Paucłaka i Cz. Schabowskiego zapisali na swoim koncie 12 pozycji książkowych (powieści i cykle nowel) w ciągu ostatniego roku. Są to na ogół prace wybiegające daleko poza łódzkie strony.

Natomiast część członków Koła Młodych związała swoją bogatą twórczość z terenem województwa łódzkiego, walcząc nieustannie i często z powodzeniem o dobry, literacki reportaż. Trudno by tu było podać liczbę terenowych wypadów takich pisarzy jak W. Drygas i T. Szewera. Niesposób także podać choćby w przybliżeniu ilości wsi i miasteczek, które przepenetrowali, uporczywie śledząc ten sam problem w jego rozwojowym procesie. U podstaw twórczości „wiejskiej” części Koła Młodych znajdziemy niewątpliwie ścisły związek z terenem, gruntowne niekiedy nagromadzenie wydarzeń i faktów. Stąd też konkretność w reportażach i opowiadaniach. Dość wspomnieć, że obydwa pisarze byli się — jak dotąd — bez fikcyjnego bohatera, fikcyjnej miejscowości i fikcyjnych zdarzeń.

Wydać się konieczne przypomnieć w tym miejscu słowa mł. Bermiana z warszawskiej narady, poświęconej twórczości artystycznej: „nie gardzić piórem i słowem propagandysty, współpracujcie z naszą prasą i radiem, wyjeżdżajcie na wieś z aktywnym robotniczym i studenckim, szukajcie zbliżenia ze środowiskiem robotniczym. Kto zasklepią się w kręgu utyskujących inteligentów, ten nie zrozumie istoty toczącej się walki i przemian”.

Warto te słowa przypomnieć dlatego, że część pisarzy z Koła Młodych nie gardzi piórem propagandy-

sty, wiąże się z codzienną prasą i radiem. Przypominać sobie W. Drygasa agitującego późnym wieczorem pod gruszą w małym Osacinie koło Nowego Miasta za kontrakcją trzody chlewnej. Pamiętam T. Szewerę, kiedy wraz z aktywnym współdzielczym rozwiązywał w zadymionej świetlicy bogumiłowickiej trudne problemy socjalistycznej organizacji pracy. Niesposób także zapomnieć kilkuletniego współdziału pisarzy w trudnej walce klasowej toczącej się we wsi Godzianów pod Skierniewicami. Cykl prac ogłoszony we „Wsi”: spółdzielcy — J. Mozgi, naukowiec — D. Galaja, młodego socjologa — W. Wiatra i W. Jażdżyńskiego, rezultat współuczestnictwa, w walce — mogłoby śmiało stanowić samodzielną książkę, wymowne świadectwo wyrastania pisarstwa w bojach klasowych.

Zespół W. Drygas i T. Szewera przygotowuje zbiór opowiadań o terenowych radach narodowych. Złożyłyby się pewnie na dużą broszurę prace młodych o przebudowie łódzkich miast i miasteczek — Piotrkowa, Skierniewic, Kutna i Sieradza — w ramach Planu 6-letniego. Ci „obroncy prowincji” pokazali niejednokrotnie jak wzrost bazy, rozwój sił wytwórczych porywa za sobą, wiąże na stałe z fabryką masy chłopów z przeludnionej wsi łódzkiej.

Oczywiście trudno przedstawić pełny zakres twórczości młodszej generacji pisarzy łódzkich. No, ale powiedzmy otwarcie, że często starszy pisarz — czytając jej prace w prasie literackiej, czy słuchając przez radio, powiada: „co za zdolni ludzie, dali mi temat i konkret, przetrwali się rzecz literacko i będzie powieść”. W słowach pisarza starszego pokolenia pobrzmiewają jeszcze stare i fałszywe nutki. Lubi on niekiedy jeszcze powiedzieć o młodym: jeżeli poprawuje 5—10 lat, a nie zmęczy się i nie załamie, jeżeli pilnie i cierpliwie będzie starszych słuchał — zostanie literatem, który powoli od „gorszych” rodzajów twórczości — notatk, felietonu i reportażu przejdzie do „lepszych” — noweli, powieści.

Cóż jednak na to poradzić, że rzeczywistość jest zgoda odmiennego zdania?

Oto nowe w dziejach wsi wydarzenie — uchwała Prezydium Rządu w sprawie stworzenia jeszcze korzystniejszych warunków dla rozwoju produkcji hodowlanej. Z tej właśnie racji wyjechał w teren W. Drygas, aż za spalskie lasy do pięknie położonej wsi gminnej — Inowódz. W działaniu młodego pisarza — jakże wyraźnie sprowadzają się postulaty mł. Bermiana wniesione na warszawskiej naradzie.

Jakież bowiem rezultaty przyniosł ten — jeden z wielu — wyjazd? Nasz kolega agitował przez szereg godzin za zwiększeniem kontrakcji, wskazywał na jej jeszcze większą od chwili wejścia w życie uchwały oplanalność. Styszelśmy dopiero co jego felieton w łódzkim radio. A notatnik, nierozzerwalnie z pracą pisarza związany wzbogacił się o jeszcze jedno cenne doświadczenie. Pisarz uchwycił, mianowicie, przesłedził proces przełamania się postaw chłopów na nowym etapie państwowej polityki gospodarczej. Dotarli do człowieka — najważniejszego i decydującego podmiotu literackiej twórczości. Doświadczenie zużyte w radiowym felietonie posłużyło równocześnie w pracy nad opowiadaniem o radach narodowych.

Nie przypadkowo wspominamy tu przykład pisarza, który „nie gardzi słowem ani piórem propagandysty”. Chodzi bowiem o to, że taka praca literata stanowi konieczny warunek właściwego rozwoju jego pisarstwa, prowadzi do realizmu socjalistycznego, pomaga wyminąć nagminną i niebezpieczną chorobę — schematyzm.

O schematyzmie nigdy nie jest dość mówić zwłaszcza, iż nie jest on przywilejem wyłącznie pisarzy z robotniczego miasta. Sprawa to znacznie szersza, choroba — rzec by można — o krajowym i epidemicznym charakterze. Podtrzymując w pełni słuszny zarzut J. Putramenta, postawiony pisarzom na łódzkiej naradzie, chcieliśmy wskazać na pomijaną zazwyczaj część przyczyn tego niebezpiecznego zjawiska. Znamy nie tylko łódzkich kolegów, pracujemy wspólnie od lat, możemy zatem z dużym, poczuciem odpowiedzialności za prawdę powiedzieć o pewnym ponad wszelką wątpliwość niewybaczalnym, błędzie.

(Dokończenie na str. 2)

Z DOŚWIADCZEN PISARZY ŁÓDZKICH

(Dokończenie ze str. 1)

Pisarz ogólnie znany, czytany, stwórcza po lekturze artykułu Prusa o „Ogniu i mieczem”, że materiał powieściowy wtedy „dobrze leży”, kiedy postawy bohaterów, ich zachowania, przebieg wydarzeń — mieszczą się w ramach najogólniejszych praw rządzących światem, jego społecznym życiem. I wszystko byłoby dobrze, nasz pisarz przeszedł już podobno szkolenie ideologiczne, zna prawa rządzące światem — gdyby nie to, że obraz literacki nie jest ogólny lecz właśnie w uporczywy sposób konkretny i szczegółowy. Sprawa bynajmniej nie biała i jakże ściśle związana z zagadnieniem schematyzmu! Bo to jest przecież zupełnie co innego — prawidłowości procesów społecznych, co innego zaś bogactwo konkretnych im przyporządkowanych. Chodzi tu po prostu o niebezpieczne, właśnie schematyczne rozumienie obrazu historycznego, symplifikację wielkiego etapu dyktatury proletariatu. Komu jak komu, ale pisarzowi stanowczo nie może wystarczyć ogólnie pojmowane ujęcie okresu, czy nawet tylko jego fragmentu.

Współwiodnictwo pracy w przemysle przechodziło szereg drobnych lecz istotnych przemian, z miesiąca na miesiąc, jeżeli już nie z tygodnia na tydzień. Rosło od wysiłkowego w pierwszych okresach do bardziej wynalazczego, wyższego pod względem organizacyjno — technicznym, coraz wyraźniej opierało się na świadome racjonalizatorstwo. Nasz klasowy wróg na wsi — kulak nie miał jednolitych postaw w walce. Przechodził on fazę otwartych wystąpień w okresie Mikolajczyka, schodził często w bandyckie podziemie u schyłku kariery swego wodza, inaczej walczył dziś w oparciu o zewnętrzne, imperialistyczne sojuszniki. A wszystko to przecież dzieje się w ramach najogólniejszych praw rządzących przebiegiem trudnej walki klasowej o sprawiedliwą społeczność. Inaczej przedstawiał się sens władzy w naszym państwie w okresie administracji opartej na sołtysach, wójtach, starostach i wojewodach, jakże inaczej na etapie rad narodowych. Także i sprawa niezmierzona dla nas wagi — kontraktacji trzody chlewnej przedstawiała się zgoła odmiennie przed ostatnią uchwałą Prezydium Rządu niż po niej.

Jeżeli więc pisarz nie rozłożył opisywanego okresu historycznego na etapy, mniejsza zresztą o nazwę, i nie znajdzie dla nich im tylko właściwego konkretnego, to otrzymamy w rezultacie, być może „słuszny” politycznie, lecz właśnie ogólny, schematyczny obraz, jak to często mówią pisarze — „bez mięsa”.

Chciałoby się przypomnieć pracowitość właśnie Prusa, wezwad do nie gardzenia pracą rejestratora zdarzeń, wielką pracą nad gromadzeniem materiału literackiego. Obserwujemy bowiem niepowtarzalność w naszych warunkach przemian. Nie odnotować ich, to akurat tyle co stracić bezpowrotnie znaczną ich część. Pamięta się zazwyczaj jedynie ogólne zarysy. W jednej z Kronik Tygodniowych „Kuriera Warszawskiego” (27.IV.1874) pisał Prus: „Gromadzić najrozmaitsze fakty, notować je, uwzględniając wszystkie kategorie: byt, ilość, przestrzeń, stosunek, sposób... śledzić za najwybitniejszymi zadaniami społecznymi, rzeczy przedstawiać historycznie, wyczerpująco”. Trudno znaleźć o lepszą szkołę przygotowywania materiału literackiego.

Trzeba zawsze wysoko cenić dążenia pisarza do stworzenia większego dzieła literackiego. Trzeba mu — co więcej — w tej pracy pomagać. O wartości pracy pisarskiej rozstrzyga jej społeczna użyteczność. Krótkie, nieraz wypowiedzi, felietony, reportaże dotykające aktualnych, palących zagadnień z „fali dnia” były już w wypadku Prusa doskonałą drogą do większych literackich uogólnień. A w naszych warunkach historycznych stały się jeszcze bardziej cenne ze względu na potrzeby społeczne. Jeżeli słusznie nazywamy pisarza „inżynierem dusz”, to z taką samą słusnością stawiamy przed nim zadania szybkiego dotarcia do czytelnika. Agitować w warunkach pisarza, to nie znaczy — jak sądzą niektórzy — zastępować sołtysa na wsi czy agitatora partyjnego. Uchwycić bieżące, najbardziej pilne problemy ich pracy w literacką formę bardziej przekonującą niż słowo agitatora — aby mu pomóc — to jest zadanie pisarza nie gardzącego piórem propagandzisty. Nie ryzykowałbym twierdzenia, że schematyczna książka odegra większą rolę niż dobry felieton czy artykuł publicystyczny, kierowany przeciwko wrogiej plotce, napisany w dzienniku czytany przez setki tysięcy ludzi.

Lecz nie podkreślamy tu wielkiego znaczenia dobrych utworów tylko ze względu na bieżącą sytuację. Chodzi nam również o podkreślenie faktu, iż droga do większych gatunków literackich prowadzi bardzo często poprzez skrupulatną, uczciwą obserwację bieżących problemów.

Doszlaliśmy w tym miejscu również do innego, choć podobnego problemu, niepokojącego pewną grupę pisarzy. Powiadają mianowicie niektórzy, że istnieje zasadnicza sprzeczność pomiędzy pisaniem aktualnym, agitationalnym a twórczością obliczoną „na wieczność”, przy czym

szanujący się pisarz powinien uprawiać wiać drugą, inaczej nie będzie między wieszczem policzon. Tymczasem takiej sprzeczności nie ma. Użyjmy przykładu M. Gorkiego. Zdumiewające bogactwo rozmaitego typu artykułów, listów publicznych i odpowiedzi, wesań i polemik towarzyszyło nieodłącznie, więcej — warunkowało powstawanie jego wielkich powieści i dramatów. Nie ma przecież dzieła bez wielkiego materiału poznawczego. A więc jednak związek z życiem społecznym, kontakty pisarskie z prasą codzienną, agitacja słowem i piórem, tak jak u wielkiego pisarza radzieckiego.

Opowiadano mi smutne wydarzenie, którego bohaterem, (niestety nie tym pozytywnym) był literat. Miał on zamiar „wejść w sposób naturalny w życie robotnika”, a wszedł nieborak z fajką w zębach do hali fabrycznej i przeszkadzał przodownikowi pracy w jego walce o wyższą wydajność nie zawsze doręcznymi pytaniami.

I o innym opowiadano mi pisarzu. Ten istotnie w naturalny sposób próbuje wiać swoją pracę i życie z życiem robotnika. Opiekuje się niedzielnym studium naukowym dla łódzkich przodowników pracy. Rozmawia z nimi w przerwach między wykładami, przy czym rozmowy te nabierają z każdą następną niedzielą coraz bardziej oświeconego charakteru. I — na pewno nie bagatelna to sprawa — pisarz bywa wieczorami u robotnika, wybiera się wspólnie z nim na ryby. W tej postawie wyraża się nie zawsze jeszcze wśród pisarzy upowszechniony nowy stosunek do człowieka pracy, bezpośrednie, ludzkie zbliżenie z budowniczymi podstaw socjalizmu w Polsce. Socjolog powiedziałby zapewne, że mamy do czynienia z tak zwaną „obserwacją współczesności”. A my chcielibyśmy po prostu wskazać na przyjaźń z robotnikami jako dobrą metodę pełnego poznawania człowieka. Trudno bez szczególnego wzruszenia przypomnieć list M. Gorkiego do poszukiwacza złota na dalekim Uralu: „przyjemnie byłoby towarzyszyć, zjeść z wami obiad” — pisał do ludzi wydobywających cenny kruszec w dzikiej tajdze. A niezbędny, cenny kruszec literacki — to dobrze, wszechstronnie poznany człowiek.

Nieśmiało jeszcze na gruncie łódzkim tego rodzaju próby zawiązania serdecznych nici osobistej przyjaźni z robotnikami czynione przez J. Korprowskiego, G. Timofiejewa, J. Milera, a może i innych pisarzy należałoby szeroko wśród pisarzy rozpowszechnić. Jest to bowiem najcenniejsza z przyjaźni, o której warto walczyć. A może ten właśnie serdeczny związek przyczyni się do wypełnienia poważnej luki w zakresie „robotniczego reportażu”?

Jeszcze słów kilka o krytyce. Piszę o niej już to dlatego, że niedomogi krytyki jaskrawo zostały podkreślone na warszawskiej naradzie, już to z tego względu, że w Łodzi na tym odcinku — kruchło.

Pisarze z robotniczego miasta pierwsi w Polsce wprowadzili krytyczną kontrolę procesów twórczych. Prace w sekcjach — prozy, poezji i przekładu zakładają sobie ten właśnie cel pomocy autorowi w pisaniu. Lecz mimo to — krytyków łódzkich na ogół ani w prasie literackiej, ani na rynku wydawniczym nie widać. Nie mówimy już o kartelu warszawskich krytyków, dorobili się ich przecież Kraków. Terenowy Oddział Związku Literatów jest zawsze w trudnej sytuacji, jeżeli jego praktyczne pisarskie nie towarzyszy czynna, wyspecjalizowana krytyka. Grozi mu szkodliwa, demobilizująca obojętność a niekiedy nawet fałszywa ocena, że strony krytyki z zewnątrz nieobeznane z miejscowymi warunkami.

Kiedy zatem mówimy tu o krytyce, to nie chodzi nam jedynie o wkładanie laurów wieniec na czoło pisarzy, czy trafną analizę popełnionych przez nich błędów. Tego typu krytyków jakoś brakuje. Myślimy o czynnym polityku kultury, który naukowymi metodami będzie badał społeczne oddziaływanie literatury, który w oparciu o rzetelną wiedzę o rzeczywistości i głosy czytelników potrafi wskazać właściwą hierarchię ważności zagadnień podejmowanych przez pisarzy. Oddział Związku Literatów powinien być więc związany z placówką naukową — badawczą. Trzeba o nią walczyć. Na Uniwersytecie rośnie grupa młodych, marksistowskich krytyków, ale niestety nie wykorzystana.

Ala nie o to tam chodzi. Pisarzowi nie wolno poprzestać na twierdzeniu: oto napisałem książkę, spełniłem więc swe zadanie. Cykl twórczości zamyka się dopiero wtedy, kiedy pisarz może sobie odpowiedzieć na takie pytania — a co się stało z sercem czytelnika po przeczytaniu tej książki, jak i czy na lepsze, bardziej społecznie świadome przemienienie zostało jego życie?

I któż ma dać taką odpowiedź, kto powinien prześledzić nie taką znowu prostą drogę książki do właściwego odbiorcy, kto powinien ocenić skomplikowany proces recepcji literackiego dzieła — jeżeli nie krytyk z pomocą pisarza i całego aparatu upowszechnienia kultury?

Wiesław Jażdżyński

MACIEJ GRYFIN

OD PŁUGA DO PIÓRA

Byłem względnie dobrym rolnikiem, jestem przebiegłym pracownikiem redakcji, na odcinku literackim stawiam pierwsze, niemowlęce jeszcze niekiedy kroki. Jeśli redakcja „Wsi” uważała za stosowne zwrócić się do mnie o podzielenie się pierwszymi doświadczeniami pisarskimi, to chyba dlatego, że moja droga pisarska będzie w pewnej mierze odbiciem pouczającej drogi i trudności, na jakie napotyka każdy z początkujących literatów w terenie.

Moje „pisanie” oczywiście nie spadło z nieba, ale na początku mocno było oderwane od życia. A zaczęło się następująco. Orałem właśnie kołby pod żyto! W połowie zagona, za każdą skibą miałem samotną, żołnierską mogiłę. Czasu było dość. Przyszła mi myśl, że w jednej z takich mogił leży rozstrzelany przez hitlerowców w białostockich lasach mój ojciec.

Tu za pługiem zaczęło mi się wszystko kojarzyć i układać w opowiadanie o młodym osadniku, który likwidując nad Odrą odłogi znajduje mogiłę swego ojca-żołnierza. Czulem, że „to” nie daje mi spokoju, byłem młody i trochę palił się we mnie słomiany ogień, sprawa opowiadania przejęłam się więcej jak siewami.

Posłałem opowiadanie do pewnego tygodnika — zamieścili. Wydawało mi się wtedy, że zjadłem wszystkie mądrości i napisałem seryjnie nieomal... trzy dalsze opowiadania. Dwa naturalnie do łut! I wtedy z redakcji dostałem serdeczny, pomocny list. Zwrócony mi uwagę, że ułożenie jednej nowelki to jeszcze nie wszystko, że trzeba się uczyć, że pisać musi mieć do opisywanych zjawisk jasny i świadomy stosunek ideowy. Pojąłem, że pisanie to orka i do tego ciężka. Porównałem moje opowiadanie z życiem, które mnie otaczało. Były to rozstające drogi! W „Samopomocy Chłopskiej” w naszej wsi panoszyły się wówczas kulacy, kradli i pili, a ja pisałem sielankową opowieść jak to... dusza żołnierska wiarusa — kaprala, co to czołgów i armat się nie bał, siedzi sobie u Piotra i, odsuwając delikatnie chmurkę, patrzy miłośniernie na dzieci, borykające się z losem na ziemskim padole.

Dziś widzę jak moje pisanie, szczerze ale naiwne odbiegało od życia. Ot, kilka dewotek rozczuliło się do łez, miejscowy sklepikarz pochwalił mnie wyrażając nadzieję, że mogę nawet pisać w gminie — zostać i tyle. Prawdziwi chłopcy, młodzi i średniacy wrzucił ramionami i mówili: „opiekało chłopaka czy co, takie baje pisze, lepiej niech pilnuje gospodarki”.

Z listu redakcji wyciągnąłem wniosek. Za honorarium autorskie — kupiłem parę prosiaków a moje opowiadanie odczytałem ze spokojem na szafie. Wiedziałem i czulem, że jakoś muszę przełamać trudność, że muszę pisać o tym, czym żyję i co czuję. Byłem już wtedy w organizacji młodzieżowej, nadarzyła się okazja. Napisałem korespondencję do codziennej gazety w sprawie bogacza Kowalskiego, który miesiącami nie wypłacał parobkowi należnych za pracę pieniędzy.

W naszej małej dziurze zawrzało — najgłośniejszy bulgotało w kulakim

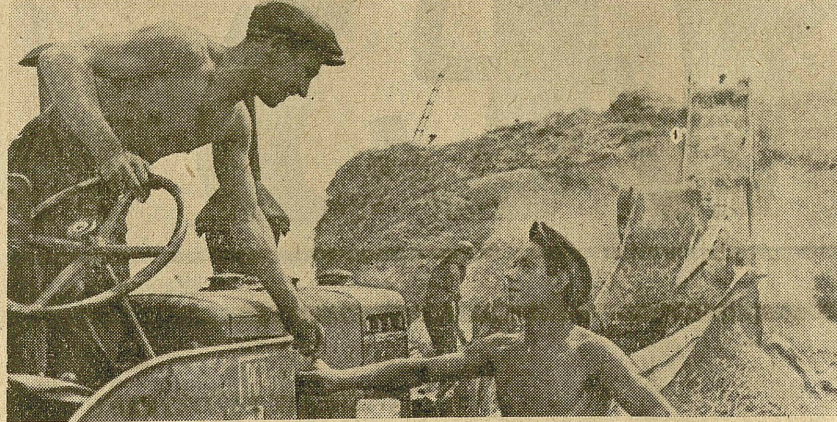


Foto WAF

bagienku, bogacze wręcz pyskowa- li „co takie małe g... będzie opisywać nas, najlepszych gospodarzy”. Grozili sądem itd. Zrozumiałem wtedy, że każde słowo celnie wymierzone uderza we wroga, że jeśli to o czym piszę nie jest oderwane od życia, to jest to tak samo ważne jak hektar dobrze uprawionej roli, że pomaga w pracy i walce. Zobaczyłem, że moi sąsiedzi małorolni i średniorolni przychodzą do mnie z podobnymi sprawami. Po- stanowilem to hartowane słowo korespondenta wiejskiego przenieść na moje pierwsze próby literackie.

Zrobiłem to później w innych warunkach — gdy z korespondenta (w Polsce Ludowej to nie cud) zostałem pracownikiem redakcji. Tu zetknąłem się zdrowo z polityką. Spojrzałem na moją wieś, innymi otwartymi oczyma, przypomniałem sobie, że córki sąsiada bogacza uśmiechały się do mnie tylko wtedy, gdy trzeba było zwozić siano, pracować przy młocze, że moje „autorskie” prosiaki, które w międzyczasie ładnie podrosły na warchli- ki poszły do starego Filipa nie „na chów”, a prawem wyszuku za pożyczkę na przedniworku par złotych i przywileju... rznięcia siekarki.

Trochę byłem zarozumiały. Uważałem np. że pisać opowiadanie o kontraktacji mogę teraz bardzo łatwo, bo przecież — usprawiedliwiałem swoje pisarskie sumienie — sam hodowałem świnię i widziałem jak u nas kontraktowali. Napisałem opowiadanie — rychło przekonałem się, że słabe. Ale najpierw...

Byłem w terenie. Myślę sobie, może trochę uzupełnić i wzbogacić treść opowiadania, popytam o kontraktację. Poszliśmy z przewodniczącym GRN na zebranie. Los, wypłata mi figla. Przewodniczącego odwołano do powiatu. Sołtys słyszał coś pięte przez dziesiąte i zapowiedział mnie... jako „przedstawiciela wojewódzkiej kontraktacji”. Poprosiłem z pomocą do przyziuma. A tu chłopcy na gwałt przerobili mnie z mniejszym lub większym sprawozdawcy-słuchacza, w czynnego działacza kontraktacji. Siedziałem, lały się ze mnie słodkie poty, bo wszyscy dyskutowali, że to niedociąga a tamto nawala. Powiedziałem, że szukam materiału do opowiadania znaczyło w tej sytuacji ponieść klęskę. Rato- wałem siebie i honor... wojewódzkiej kontraktacji, pojąłem, że praca polityczna w gromadzie leży. „Obywatelu — powiedziałem — jutro usuniemy wszystkie błędy — a na to wstaje kulak i mówi: „Chłopy,

nie wierzą mi, bo tu już paru było, co obiecywali i nie nie za- łatwili. Najlepiej jak do każdego przyjdzie reżnik do chlewa i kupi”. Popytałem po cichu sołtysa... byli tu już rzeczywiście z powiatu i nie nie załatwili.

Bogacz wycofał wahanie i dawał po mnie „wyrazami”, wy tacy a nie tacy.

Chłopi się wahałi. Czy na tę stronę, czy na tamtą.

Bogaczowi za „wyrazy” nie pozostało wcale dłużny a na drugi dzień sprawę w powiecie załatwiłem. Poniosła mnie wściekłość, pasja nie tylko pisarska; trzeba kula- kowi pyska utrzeć. Przyjechałem z powrotem do gromady, przysło wtedy dużo nieufności, wielu chłopów witało mnie jak dobrego znajomego. Zakontraktowali 23 sztuk...

Co chce, cytując tę świąteczną historię powiedzieć? To, że przy próbach literackiego tworzenia nie wystarczy być biernym słuchaczem — sprawozdawcą, nie wystarczy być nawet bystrym obserwatorem z innych, wyższych czy bocznych pozycji, trzeba czuć, że swoim pisa- niem pomogę kontraktacji, że to co piszę zatka gęby pyskującym wro- gowi, że piszę dla zahartowania wątpliwych, dla pomożenia walczą- cym...

Przez pisarza i jego pracę musi przemawiać czynny udział w walce, świadomość, jakby stratega tej bit- wy, która toczy się odcień w walce o plan w każdej gromadzie i fabryce. Ten co pisze, musi, w moim konkretnym wypadku czuć się nie piszącym o kontraktacji, a jak- by osobiście zainteresowanym u- czestnikiem kontraktacji, chłopem, który wierzy, że tego gromada za- kontraktuje, że 20 tuczników, ponad plan...

Jeszcze jedna sprawa. Zadaniem pisarza terenowego jest pokazywanie życia swego regionu. Ja zacząłem pracować w poznańskim w prze- konaniu, że to już przed wojną była kraina powszechnej zamożności i kultury. Dopiero przy zbieraniu materiału do reportażu literackiego, otwierali mi się oczy, gdy do- wadywałem się, że w takiej np. Po- larczy, pow. Jarocin kilkanaście lat gromada walczyła o szkołę po- wszechnią, a kiedy ją zbudowała, to za zgodą sanacyjnego Sądu Najwyż- szego z jej własności wysłał ją probo- szczy i zarazem 100-hektarowy kulak Rossa. Toż w tej Polarczy hrabiowski plenipotent Pomeran- ku ucieczie granatowych policjantów na kilka lat przed wojną jak za naj-

lepszych czasów feudalnych był bez- karnie chłopów po twarzy i wyrzu- cał na bruk, tak, że ludzie mieszka- li w słomianych budach, w rowie, przy drodze do Goliń.

Dzisiaj ci ludzie, to dobrze się mający średniacy, Polska Ludowa zapewniła im trwałe podstawy by- tu i wybudowała im szkołę. Pokazał demaskatorsko okres między tą starą szkołą, w której chłopci płaci- li kulakowi i księdzu haracz oet- nara zboża od klasy, a nowoczesną, dzisiejszą szkołą — oto zadanie.

Zadanie to podjąłem niezbyt mo- że udolnie, ale od razu dostałem z terenu kilkanaście listów, odsłania- jących podobną sytuację w innych wsiach wielkopolskich. O czym świadczył ten żywy oddźwięk?

Ze teren czeka na literacki, nie- sfalszowany i niewybielony obraz swego życia, że chce słyszeć o swo- jej trudnej pracy i walce.

Po przeczytaniu artykułu tow. Bermiana, przyjrzałem się krytycz- nie mojej początkującej twórczości. Czy zawsze pokazywałem wielkość naszych czasów? Pokazywałem, ale niedostatecznie, nieraz błędnie. Dla większej jasności średniak miał u mnie bardzo często suche, jakby szablonowe oblicze, uchylałem się przed trudnym zagadnieniem przed- stawienia jego drogiej, wahał się duszy. A przecież jako zagrze- bany po uszy w terenie widzę ży- cie w jego konkretnych formach, starałem się np. pisać o dobrym przewodniczącym spółdzielni pro- dukcyjnej dać nie tylko sumę cha- rakterystycznych cech wielu prze- wodniczących, ale zawsze mieć przed sobą postać ob. Ciorocha po- ważanego ojca spółdzielczego ko- lektywu z Tarnowa, powiat Oborn- niki. Mimo to, moi bohaterowie wy- chodzili jeszcze zbyt sztucznie, zbyt łatwo przełamwali piętrzące się wokół nich i w nich same trud- ności. Gdzie tkwią źródła tych błę- dów? Duzo zwalczać trzeba na począt- kowy okres mych „prób pisarskich. Ale zasadnicza przyczyna tkwi, jak to wykazał tow. Berman, w nie- dostatecznej jeszcze wężu znajomo- ści życia, słabej umiejętności two- rzenia i odnawiania literacko perspektyw dnia dzisiejszego, w niedostatecznej pasji docierania do głębi życia.

Kończąc mój mały obrachunek li- teracki uważam, że my, piszący z terenu, hartowani czy to w codzien- nej pracy partyjnej gazety, czy w pracy społecznej mamy najwięcej warunków, by przełom na nowe i lepsze — w twórczości artystycznej rozpoczął się właśnie u nas i w na- szą najbliższą przyszłość. Wprost na placu budowy, jaka jest dzisiaj każda gromada, szkoła i fabryka.

W tej własnej ocenie moich pier- wszych prób literackich, chciałem pokazać jak szedłem z obłoków na ziemię. Ale, żeby po tej ziemi pro- sto i śmiało kroczyć, nie tylko w „wielkiej” literaturze, ale także i w jej mniej okazałych formach, jak reportaż, nowela, felieton, au- dycja radiowa, pisanie i rozpowszechnianie tylko na szczeblu wo- jewódzkim — potrzebna jest nam pomoc, przodujących i doświadczonych w warsztacie pisarzy.

O tej pomocy, która nam jest po- trzebna i na którą czekamy, posta- ram się napisać innym razem!

Maciej Gryfin

WOJCIECH DRYGAS

JAK OGARNAĆ BOGACTWO PRZEMIAN

„Rady narodowe rządzą, przyspa- sabbają masy do rządzenia, uczą je sztuki rządzenia — najlepsi ludzie do rad!” — ten dumnie brzmiący napis wykuły w glazie, wbitym w ziemię naprzeciw siedziby Gmin- nej Rady Narodowej w Kłomicy, przypomina codziennie pracującemu chłopu przy siewniku sklepowego wiejskiej z komitetu sklepowego, młodemu zetempowcowi i podrost- kowi biegącemu co rana do nowej szkoły — o istnieniu tej najbardziej sprężystej, zwartej, powołanej z masami, socjalistycznej formie wła- dzy.

Stanąwszy z górą rok temu przy pamiątkowym kamieniu, postawi- łem sobie pytanie: w jaki sposób odnaleźć treść napisu z glazu w ży- wym człowieku? Jak dobrać się do tego nowego, pasjonującego tematu, nietkniętego na ogół dotąd zdo- bywym piórem pisarza? Jak ogar- nać wszystkie bogactwa przemian, które winien przejść bohater me- go reportażu?

Odpowiedź, zgola dla mnie nieo- czekiwanie, padła w godzinę póź- niej na sesji GRN z ust małorolne- go chłopca Jana Krawczyka, zasła- dającego tutaj w komisji zdrowia. Wyciągnął z kieszeni złożony w czworo arkusz, na którym naszko- cił śmiały projekt budowy w Kłomicy ośrodka zdrowia z przy- chodnią dziecięcą, izbą porodową, ambulatorium dentystycznym i lam- pami kwarcowymi. Projekt poparty został olbrzymią większością gło- sów, daremnie zausznik kulacki se- kretarz Witcki, stary urzędnik przedwojenny, przebiekający o po- ważnych obciążeniach budżetu gmi- ny. On, zwykły chłop Jan Kraw- czyk, który przed wojną nie śmiał nawet marzyć o postawieniu sobie porządniejszej chaty — dzisiaj decydując o budowie wielkiej w skałi gminy, prawdziwie socja- listycznej placówki.

I wtedy zrozumiałem, że kamień ten nie tylko potwierdza rzeczywi- stość. Że to nie on krystalizuje w Kłomicy nowy typ działacza chłopskiego, który poczuwa się do odpo- wiedzialności za to, co się dzieje w jego wsi, czy gminie, ale w całym powiecie i całym kraju. Że nie on otworzył kłomickim chłopom na przestrzał horyzont, aby wybiegli poza obręb zagonu własnego i wsi rodzinnej.

Ten wielki zakres ich samodziel- ności, rozwijanie się oddolnej twó- rczości inicjatyw — tkwi u podstaw wczesniejszych etapów historii wal- ki o socjalizm w naszym kraju. Głaz z pamiątkowym napisem, jak kamień miłowy, przypieczętował ludzko ten pierwszy okres dzieł Ludowej Ojczyzny, drogą, którą oznaczył, wybiegła już dzisiaj da- leko poza zorane traktorami pola, poza miasta rozdygotane pracą kom- bajnów radzieckich do betonowania stropów nowych fabryk i kombina- tów. Okres ten nazwałbym — okre- sem wzrostu człowieka. Był to rów- nież okres mojego wzrostu.

I teraz pragnę zastanowić się gło- biej, od spełnienia jakich warun- ków zależeć będą dalsze losy moje- go własnego, i pisarstwa moich współtowarzyszy z zespołu mło- dych pisarzy tygodnika literackiego „Wies”. Nazwijmy te warunki:

- 1) Kontakt z terenem.
- 2) Znajomość marksizmu-leninizmu.
- 3) Zdolność artystycznego trans- pponowania rzeczywistości na okre- ślony gatunek: reportaż, opowiada- nie, felieton.

Jest to żenujące przykładać miar- ny, stawiąc stopnie pisarzowi, tym więcej, że się pisze de se ipso. A jednak drogi innej nie ma! Jest nas tu kilku, takich jak Tadeusz Szewe- ra, Jerzy Lesman, Władysław Ud- ski, którym stawia się zazwyczaj piątkę za t.zw. kontakt z terenem.

Istotnie nie ma chyba tygodnia, w którym nie poświęcilibyśmy dni na bliższe i dalsze wyprawy. Urzeka — porwa bohatera, nieraz walka naszego partyjnego i niepartyjnego aktywu o wykonanie gromadzkich planów gospodarczych: w skupie ziemliopłodów, kontraktacji trzody chlewnej, walce o pełną realizację zobowiązań finansowych wobec państwa.

Bywa nieraz, że żyjemy proble- mami jednej sprawy przez długi okres czasu, dogłdamy jej, śledzi- my rozwój. Przez rok cały z niema- łym zainteresowaniem obserwowa- liśmy jak rosły wysokie mury ośrod- ka zdrowia w Kłomicy, jak wraz z nim rosło znaczenie Gminnej Rady Narodowej, jak rada aktywizowała najszersze masy i wciągała je do bezpośredniego udziału w rządzeniu państwem. Ze wzruszeniem przy- pomniamy sobie ów pamiętny dzień, w którym chłop małorolny Jan Krawczyk — przewodniczący komi- sji zdrowia, rozpakowywał osobiście skrzynie z lampami kwarcowymi.

Ala to nie pierwsza i nie ostatnia sprawa, której poświęciliśmy tyle rozmów, ożywionych dyskusji, gło- bokiich rozważań. Co do mnie trzy- nam na wodzy równocześnie kilka zagadnień, rozrzuconych po dużych przestrzeniach terenowych. Rad- bym na przykład sprawdzić, jak wygląda organizacja pracy w gro- chowskim gospodarstwie zespoło- wym, czy aktywni spółdzielcy wy- grał już walkę o średniaka? Czy potrafił przyciągnąć do kolektywu wahałającego się Kmity, a wraz z nim nieufną jeszcze, lecz wdraża- jącą się powoli w nowe życie Biał- kowska i dwudziestu innych, ogar- niętych rewolucją głębokich prze- mian na wsi, chłopów średniorol- nych?

— Coś się w świecie stało — zwierzyła mi się Białkowska, kie- dy ostatnio gościł w Grochowie —

jakową przemianą ku dobremu po- szła... Ale jak to będzie za socja- lizmu?

Sredniaczka pocieszyła się moją odpowiedzią. Reszty miał dokonać przewodniczący spółdzielni tow. E- ugeniusz Kwiatek. Jak się żyje te- raz Białkowskiej w kolektywie, w nowych warunkach ekonomicznych?

Okazuje się przecież, że nie ma spraw skończonych. Wszystkie ma niejako swój ciąg dalszy. Oto leży przede mną szereg czekających na swe rozwiązanie problemów.

Należę do grupy pisarzy, o któ- rych się mówi, że są przygotowani ideologicznie — dość doświ- dze. Ale to nie jest jeszcze piątką, ba, nie mógłbym się z całym spokojem przyznać nawet do czwórki. W tym fakcie — użyjmy takiego sformuło- wania — tkwi sek pierwszy naszej twórczości.

Min. Berman mówił, że nie wy- starczy najbogatszej nawet połowy faktów. Trzeba jeszcze rozumieć ich głęboki wymiar ideologiczny. Po- wiedźmy sobie szczerze, towarzysze, że nie zawsze udaje się nam doko- nać selekcji marksistowskiej ol- brzymiego bogactwa przeżyć wy- darzeń. Na przykład dzieło Kłomi- cy przeszły bardziej po marksi- stowsku, niż pokazało je pióro. Dzieje Kłomicy zaskoczyły. To dla nas pisał Majakowski przed z górą dwudziestu laty:

„U nas
poeci
w wypadkach utkwia,
opiszą zgiełk wczorajszy,
a trzeba
wyrwać naprzód,
w jutro,
by portki
trzeszczały w marszu!”

Wojciech Drygas

k o ś ć n a s z y c h c z a s ó w

KRYSTYNA PAŁYS

NA PIERWSZYM PLANIE — CZŁOWIEK

„Popatrzcie ile odwalonej roboty za nami!” W uszach jeszcze dzwonił mi ten okrzyk młodej robotnicy z Lubelskiej Fabryki Samochodów Ciężarowych, kiedy przeczytałam w artykule wiceministra Kultury i Sztuki Włodzimierza Sokorskiego napisanym na marginesie ogólnopolskiej konferencji w sprawie twórczości artystycznej takie oto zdanie:

„Dopiero gdy człowiek naszej epoki odnajdzie w dziele twórczym siebie samego, swoje troski, swoje zwycięstwa, swojego pozytywnego bohatera, na którego naprawdę nie zostanie obojętny, dopiero wówczas prawda utworu stanie się jego prawdą.”

Uderzyła mnie mocno analogia między okrzykiem robotnicy i wypowiedzią ministra. W okrzyku dziewczyny człowiek naszej epoki domagał się wprowadzenia go takim, jakim jest w rzeczywistości do kręgu zainteresowań całego społeczeństwa.

Z próbami pokazania takiego człowieka wiąże się i moja skromna praca. Wprowadziła mnie na tę drogę redakcja „Wsi”, dlatego może nie od rzeczy będzie napisać w jaki sposób znalazłam się na pierwszym linii frontu — wśród pisarzy terenowych.

Musimy przenieść się do redakcji dziennika lubelskiego, w której było kilku ludzi, potem kilkunastu a teraz jest już około czterdziestu. Z początku starano się tam tylko objąć całokształt zagadnień ze swojego terenu, ale kiedy Lubelszczyna wkroczyła na drogę Planu 6-letniego, rozpoczęły się wysiłki zespołu, aby nie wlec się w ogień wydarzeń, bo życie przyspieszało tutaj tempo niemal z każdym dniem. Z powolnością „andante” pierwszych lat wolności przeszło niepostrzeżenie w brawurowe „presto”.

Przy biurku redakcyjnym czytałam w tej redakcji bardzo szczegółowy informator o biegu wydarzeń w naszym województwie — prowadził dział korespondentów, w okresie kiedy ten ruch przybierał na sile. Od owych czasów zmieniło się wiele, po roku dwóch korespondentów zostało moimi kolegami, trzeci wyjechał na studia dziennikarskie do stolicy. Sporo czasu zeszło mi potem w innym dziale na adaptacji i opracowywaniu materiałów, kontaktu z terenem jednak nie utraciłam całkowicie. Prawdę powiada stare przysłowie, że „natura ciągnie wilka do lasu”. Od czasu do czasu potrafiłam wytrzasnąć trochę czasu na to, aby zebrać materiał i pisać na tematy interesujące mnie najbardziej i to w takiej formie, która mi odpowiadała. Walka o miejsce w dzienniku o małym formacie, którego zadaniem jest obejmować wszystkie zagadnienia swego terenu, nie była łatwa. Z tego też powodu najprawdopodobniej nie żyłam w zgodzie z sekretarzem.

Tak było do dnia, w którym na moim biurku znalazł się list z redakcją „Wsi”. Pytano o adres autora reportażu mojego pióra. „Więć” szukała kontaktu z Lubelszczyną — chodziło o pisywanie na jej szpalach listów, omawiających wydarzenia o charakterze kulturalnym z tego terenu. Kiedy już pierwszy taki list ujrzał światło dzienne, nadeszła bardzo kusząca propozycja dla takiego dziennikarza, który dotychczas musiał zawsze liczyć się z brakiem miejsca w gazecie. Przyjście reportażu albo opowiadanie o budowie wielkiego szpitala klinicznego w Lublinie.

Stałam wówczas wobec zagadnienia co pisać. W stolicy wybrałabym sobie widocznie, że mury szpi-

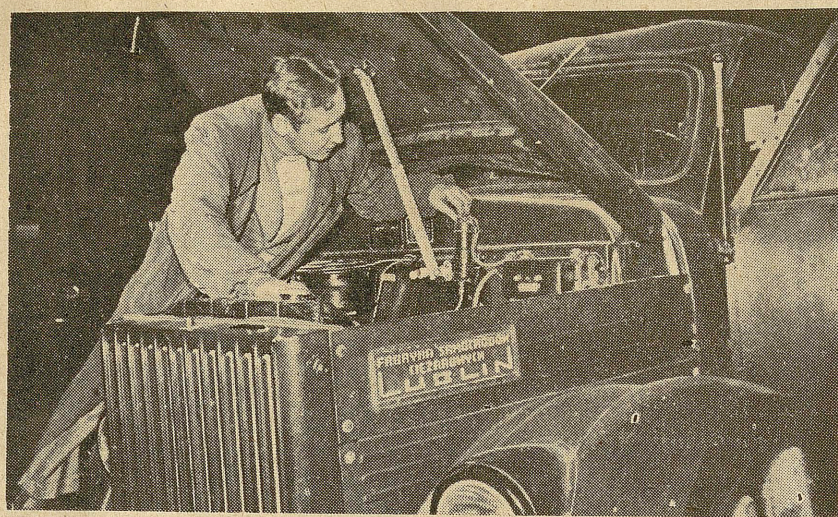


Foto CAF

tala już rosła, a tu na terenie budowy zieleniła się jeszcze trawa — przystępowało dopiero do robót zbrojeniowych. Zrezygnowałam nie miałam ochoty — przecież na miejscu byli ludzie, których życie wiązało się z istnieniem tego szpitala. Poszłam ich szukać do kliniki Akademii Medycznej. Tam zetknęłam się z młodym narybkiem lekarskim i całą galerią pacjentów-chłopów. To co się działo w klinice było nie mniej ciekawe od budowy, która miała ruszyć w roku przyszłym. Tak powstał reportaż „Nowa inteligencja”.

Po wydrukowaniu drugiego z kolei listu, forma ta wydała mi się już za mała — chciałam pokazać ludzi całkiem z bliska, w pełniejszym nasłonecznieniu i ramach otoczenia. Wpadła mi wtedy w ręce mała książka o czynie melioracyjnym chłopów z powiatu kraśnickiego, którzy porwali się do wielkiego dzieła — zagrabiali Wiśłę drogę na swoje pola, sypiąc 7 km walu przeciwpowodziowego. Olbrzymi ten wysiłek całego powiatu mógł stanowić całokształt tematów dla powieściopisarza. Na to jednak trzeba było czasu. Zajęcia zawodowe i niemożność dłuższego zatrzymywania się na miejscu, nie pozwoliły mi wyzerpać wszystkich możliwości nawet w reportażu. Powstał wówczas tylko szkic literacki „Świeciechów — to wielki temat”.

Skąd czerpałam dalsze tematy? Czy było trudno je znaleźć? Nie. Bogactwo zjawisk i wydarzeń w naszym współczesnym życiu pełnym przemian jest tak wielkie, że spotyka się je na każdym kroku. Trzeba umieć je tylko dostrzec i wybrać te najciekawsze. Najłatwiej mi było doszukiwać się tematu „na dołach”, między ludźmi prostymi, od których zawsze dowidywałam się najwięcej. Tworzyły bowiem te życie od dołu, od najniższych fundamentów bazy do najwyższych pięter nadbudowy — jak to mówił na naradzie Paweł Hoffman. Jedne zdanie robotnika czy chłopka zamknęło nieraz lepiej prawdę niż najbardziej wyszukane wywody. Zdanie takie stało się często jakby głównym motywem mego tworzenia, na którym łatwo było rozbudować szkic albo reportaż. Dzięki takim ludziom odśzukiwałam najciekawsze problemy i zjawiska w głuchych zakątkach swego terenu, stanowiących niekiedy ułamek ułamek dla literata ale i dziennikarza. Oto przykład:

Na jeździe wojewódzkim korespondentem robotniczo — chłopskim w Lublinie przemawiał z wielkim zapalem starszy człowiek. Gnębila go odbudowa nieznanej mi, zniszczonej fabryki, skarżył się na brak zainteresowania sprawą, stanowiącą

dla niego treść życia. Wrażenie musiałoby być mocne, skoro człowiek i nazwa miejscowości utkwiły mi głęboko w pamięci. Po kilku miesiącach nadarzyła się sposobność dotarcia do odległych stron i zapoznania się z historią zdevastowanego zakładu, wysiłkiem ludzi, wysiłkiem na realizatorów lokalizacji zakładów przemysłu spożywczego na terenach stanowiących bazy surowców. (Jedno z zasad decydujących o planach rozbudowy przemysłu spożywczego). W takich okolicznościach powstał reportaż „Kombinat wśród sadów”. Opowiadał mi później, że odbudowa fabryki została włączona do inwestycji, przewidzianych w Planie 6-letnim. Miał to do tego przyczynić popularizowanie zagadnienia w prasie.

Budowa Lubelskiej Fabryki Samochodów Ciężarowych — temat atrakcyjny i najbardziej interesujący na moim terenie zwałabym wielu dziennikarzy, a literackiego opracowania tego tematu nie spotykałam. Pewne doświadczenie mówiło mi wyraźnie, że na zgłębnienie całokształtu procesów zachodzących na tym obszarze niedostatecznych wydałyby się (nawet w reportażu) trzeba długich tygodni. Jeśli zlekceważyć tę sprawę — nie potrafię się utrzymać powierczości. Najlepszym wyjściem byłby wybór jednego odcinka z tego wielkiego kompleksu zagadnień, znanego mi zresztą częściowo z wiadomości podawanych w prasie codziennej a śledzonych skrupulatnie. Takie przygotowanie umożliwiłoby mi po pobycie w FSC pisanie o ludziach przybyłych tu z wsi, o wpływie, jaki wywiera na nich fakt, że tkwią w punkcie centralnym zachodzących na Lubelszczyznę zmian. Nie bez znaczenia była również okoliczność, że „tkwiłam” i ja od dwóch lat w swoim terenie i w fabryce spotkałam „starych znajomych” — propagatorów nowoczesnych metod budownictwa na Lubelszczyźnie. Zanim powstał reportaż „Owczarek i inni” trzeba było przeprowadzić uczciwą selekcję nagromadzonych szczegółów, aby nie zestawić ich w sposób prowadzący do fałszywych uogólnień, z drugiej strony dołożyć starań i wderzeć się w nurt zachodzących wydarzeń tak głęboko, żeby uniknąć niebezpieczeństwa schematycznej deklaracyjności.

Kluczem otwierającym mi drogę i pozwalającym zgłębić obserwowane zjawiska są wspólne zainteresowania i wzajemne zrozumienie z ludźmi, o których piszę. O mnie, czy więcej udanej pracy decydują zawsze dwa czynniki: Jak głęboko rozumiem rzeczy, o których piszę, jak je odczuwam i w jakim stopniu

potrafię pojąć zjawiska oraz towarzyszące im okoliczności.

Zresztą czynnik emocjonalny, o którym mówił wyczerpująco na konferencji Paweł Hoffman, odgrywa rolę nie tylko u tego, który pisze, ale i u ludzi z którymi pisarz styka się. Zdarzyło mi się pewnego razu, że bardzo zdolny inżynier częstował mnie szczegółowym opisem produkcji a na próby wtargnięcia do innych dziedzin życia machał tylko lekceważącą ręką: Te tam wasze „powiastki”. Kiedy jednak rozpoczęliśmy rozmowę o wytrzymałości murów stawianych w ziemi, nie spostrzegł się, że opowiedział mi historię awansu zwykłego wiejskiego stolarza na kierownika robót cieleśkich na jednym z wielkich obiektów Planu 6-letniego. A tak mocno zastrzegł się przed „powiastkami”!

Nie mogę też przemilczeć pewnej sprawy, którą poruszył na konferencji krytyk Grzegorz Lasota: co ma większą wartość w odtwarzaniu współczesnego życia — negatyw czy pozytyw, tendencje do „przyczerniania” czy „wybielania” zjawisk? Zarzucono mi w mojej redakcji, że widzę niektóre sprawy w zbyt jasnych barwach i dlatego może szukałam zawsze odpowiedzi na to pytanie. Toteż głęboko trafiło mi do przekonania sformułowanie Lasoty, że „Prawda o życiu, to nie tylko ciężka i straszna nieraz walka o lepsze jutro, lecz przede wszystkim ta, która pokazuje życie w rozwoju”.

Czy można zgłębić sens zachodzących wokół nas wydarzeń i wypadków bez należytego poznania zasad marksizmu-leninizmu? W żadnym wypadku, a dotyczy to szczególnie pisarza terenowego, który wiele rzeczy doszukiwać się musi samodzielnie, dlatego wszystkie moje osiągnięcia, dociekania i doświadczenia wiążą się mocno z rozszerzaniem horyzontów ideologicznych przy równoczesnym gromadzeniu zasobu doświadczeń życiowych.

Oddzielnie sprawą jest zagadnienie środków artystycznych — opamiętania formy, wzbogacenia słownika, którą przy uczciwej pracy zawsze można rozwiązać.

Dla czegoś formy sztuki literackiej i reportażu używałam dotychczas najchętniej? Pomiędzy fakt, że swobodnie stosowanie takiej czy innej formy jest w tej chwili jeszcze dla mnie poważnym problemem i trzeba będzie w tym kierunku pracować wiele, reportaż odpowiadał mi dotychczas najbardziej, choćby dlatego, że umożliwiał pokazywanie z bliska wszystkiego, co wiązało się najmocniej z życiem mego otoczenia. W tej formie udało mi się najlepiej oddawać sens obserwowanych zjawisk, podkreślać to, co najważniejsze a wystrzegać się nagromadzenia faktów o podrzędnym znaczeniu, zamazujących sprawy zasadnicze.

Zawsze składa się tak, że moje drogi za tematami prowadzą mnie do człowieka. Pojawia się on u mnie zawsze na pierwszym planie, ten zwykły, prosty ale jakże interesujący człowiek doby dzisiejszej, poprzez którego ucze się poznawać wielką prawdę współczesnego życia.

Na drodze wskazanej mi przez „Więć” nie jestem już sama. Znałabym się na niej moi „pozytywni bohaterowie” z Lubelszczyzny — chłop z powiatu kraśnickiego, maly dyrektor Pietrzak, kowal Surdacki, rodzina Owczarków, spółdzielcy z Dębów.

Jest nas coraz więcej na pierwszej linii!

Krystyna Pałys

STANISŁAW PIĘTAK

DAĆ OBRAZ WSPÓŁCZESNOŚCI

Na łamach „Wsi”, zdaje się w roku 1949, czyniłem już obrachunek literacki. Przystępowałem do niego z poczuciem wielkiej odpowiedzialności, starając się niczego nie zamazywać, przeciwnie odsłonić wszystkie niedostatki swoje i analizować przyczyny kryzysu pisarskiego, jaki niewątpliwie wówczas przeżywałem. Konkluzje artykułu były proste. Skłaniając głowę przed swoją poezją liryczną, melancholijną oświadczałem, że kończę z nią, bo nie widzę dla niej przyszłości i nieoptymizm głośliwym, że całą swą dzisiejszą pasję pisarską zwrócę do tworzenia realistycznej, epickiej prozy, gdyż w tym wypadku widzę mocno ludzi i konflikty, które chcą przedstawić.

Jak się to zwykle dzieje, z przewidywań, z horoskopów niewiele wyszło. W latach, które od owej wiosny obrachunku upłynęły, stworzyłem kilka przełomowych dla mojej poezji wierszy — i te utwory jak najżywiej włączyły mnie w historyczny, realistyczny nurt dzisiejszej literatury polskiej; jeśli idzie o prozę, pozostałem przy dobrych chęciach, nie wyszedłem w niej poza reportażowość i szkieletowość, nie potrafiłem stworzyć dzieła, które by dało wizerunek wielkości naszych czasów, dzieła, które byłoby świadectwem moich pełnych możliwości twórczych.

Czyżbym wyczerpał się, nie nadążał za czasem, przeżywał ciągle ideową rozterkę, która uniemożliwiała mi pisanie? A jeśli nie, to przecież znam wieś i jej życie, jej elementy zaoferowania i wzrostu, znam język, myślenie, którym posługuje się lud, pasjonuję się socjalizacją wsi, jej niebywałym awansem kulturalnym, dlatego więc nie zdołałem napisać powieści, która by zawarła prawdziwy obraz czasu, odpowiadający procesom społecznym i moralnym, zachodzącym w społeczeństwie.

Myślałem wiele nad tą sprawą i ponieważ sądzę, że jest ona nie tylko moją osobistą, ale dotyczy i wielu kolegów po piórze, zajmę się nią przede wszystkim.

Redaktor Hoffman słusznie mówił na naradzie warszawskiej, że świadomości ideologicznej twórcy nie przesadza o dzieło, które pisarz stworzył. Podpisałbym się oboma reklamami pod tym sądem. Bo cóż znaczy np. że myślowo jestem za socjalizacją wsi, gdy w uczuciowości mojej pokutuje wiele starych nawyków, które bronią dawnego życia,

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

NIECO O „PROZAIZMACH” W NOWEJ POEZJI

Choć piszę już dwadzieścia kilka lat, zawsze zasładam do wiersza jak debiutant, bo chcę napisać coś nowego, coś niepodobnego do dawnego mojego pisarstwa, coś, co byłoby prawdziwym odzwierciedleniem naszej trudnej, lecz pięknej walki o socjalizm. Doskonale zdaję sobie sprawę, że samodoskonalenie prowadzi do skostnienia treści i formy. Samodoskonalenie to śmierć poezji. Najbardziej skostniała wydaje mi się poeci, którzy boją się tak zwanych „prozajizmów” i wierszy aktualnych. Niewątpliwie pisanie takich wierszy jest bardzo trudne i są one często zbyt schematyczne, ale tak zwane „czyste liryczne” wiersze również mają swój schemat — i błądą takim ujęciem, który poza „wewnętrznością”, „gwiezdy”, „krajobrazy” i „miłość” nie wychodzi. Strach przed wierszami aktualnymi jest jednoznaczny ze strachem przed życiem, z całym jego bogactwem i bujnością. Nieprawda jest, że wielcy twórcy nie tworzyli na zamówienie społeczne. Tak tworzyli: Majakowski, Bach, Michał Anioł, Delacroix i wielu innych. Wyobraźnia, nieoparta na doświadczeniach życiowych i na realizmie, nie wystarczy. Każdy wielki twórca zawsze był, jest i będzie realistą, a wszystko inne to „ot nastroje!”. Oczywiście mówię tu o „nieziemskich” nastrojach i nastrojach, bo najbardziej stonowana liryka osobista wielkich poetów jest również realistyczna, jak ich wiersze epickie, jak na przykład wiersze Mickiewicza „Nad wodą wielką i czystą...” i „Gdy tu mój trup...”, albo „Polay się izy me...”.

W ciągu ostatniego roku na propozycję redakcji „Wsi” napisałem dłuższy wiersz pt. „Czyn Lipcowy”. Napisałem go na podstawie materiałów dziennikarskich, dostarczonych mi przez redakcję. Niewątpliwie napisałem go lepiej, gdybym sam zwiędził te wszystkie wieś, o których w nim mowa. Niewątpliwie osobiste zetknięcie się z człowiekiem wiejskim uczyniłoby wiersz ten bardziej humanistycznym.

Oprócz tego niedawno napisałem wiersz o posusze pt. „Ziemia woła o napój...”. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zwiędziałem Bułgarię, której lud zachwycał mnie swoją rewolucyjnością i zdecydowaną postawą w walce o pokój i socjalizm. Pod urokiem po-

widzę w nim wiele uroków — które nie pozwalają zła całkowicie polecić itd. Rezultat? Elementy życia starej wsi wychodzą w słusznych proporcjach plastycznie, elementy nowe — schematycznie i papierowo.

Istnieje również druga przyczyna, która powoduje klęskę pisarza pragnącego dać obraz współczesności. To brak dostatecznej znajomości terenu i człowieka, który nowe życie tworzy.

Oczywiście studiowanie korespondencji z terenu i reportaży dziennikarskich wiele pomaga w pracy, pisarzowi jednak potrzebne jest również życie się z nowym człowiekiem, głębsze, nieprzypadkowe — z osobistymi sprawami bohatera, z jego życiem duchowym na co dzień, z jego językiem, który się dzisiaj zmienia na wsi i to bardzo.

Trzecia przyczyna jest mniej ważna, za to bardziej symptomatyczna i groźna. Pisarze bali się dotychczas złych stron dzisiejszego życia, tworzyli dla jakiegoś wspomnianego, czy konkretnego krytyka, który miał ich pochwalić i w wyniku swego zamierzenia omijał niebezpieczne rafy konfliktów, przesładował, upiększał życie i ostatecznie dawał niepełny, lub fałszywy obraz rzeczywistości.

Po tych ogólnych uwagach wróćmy do prostych zagadnień. Chciałbym więc stwierdzić, że wyniki narady warszawskiej pozwoliły mi określić pisarsko, rozwiązały wiele moich wątpliwości.

Czy wyciągnąłem ze wskazań narady wnioski? Niewątpliwie. Będę zabierał głos w miarę swych możliwości w najbardziej aktualnych sprawach dnia. Nie uchylałem się zresztą od tego rodzaju pracy, przykładałem do moich dotychczasowych mojej praktyki pisarskiej. Na wezwanie Zarządu Głównego ZLP pojechałem na wiosnę tego roku w teren i napisałem reportaż o spółdzielni produkcyjnej w Grochowie, który następnie wydawnictwo „Książka i Wiedza” opublikowało w specjalnej broszurze.

Będę pisał wiersze o aktualnej tematyce i będę starał się, by miały zasięg jak najbardziej powszechny, jako najrzetelniejszą siłę lirycznego oddziaływania. No i wreszcie będę planował i chyba pisał prozę o współczesności, przeznaczoną już nie dla poszczególnego krytyka, czy poszczególnych ludzi, lecz dla szerokiego mas narodu.

Stanisław Piętak

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

ŁÓDŹ — TO PIĘKNY TEMAT

Ila Erenburg mówił podczas rozmowy ze słuchaczami Instytutu Literatury imienia M. Gorkiego w Moskwie:

— „Nasze książki powołane są do przekształcania życia. Może to osiągnąć prawdziwa sztuka, lecz nie jej namiastki. Nasi wielcy poprzednicy nakazywali nam przepalać słowem serca ludzkie. Nie wystarczy w tym celu mieć legitymację Związku Pisarzy, trzeba mieć płonące serce, trzeba być pisarzem.”

Którędy wiedzie droga do tak pojętej sztuki? Jaki naciskać w swoim otoczeniu skobel, żeby rozewrzeć przed sobą te drzwi, którymi można wyjść nieomylnie na drogę prawdziwego pisarstwa?

Jesienią ubiegłego roku sekretarz generalny naszego związku, kolega Jerzy Putrament, zużył sporo energii, żeby niejednego spośród nas, co się zagrzebał niby już w stosie liści, odkopać i zapisać:

— Co piszecie, kolego?

Różne bywały odpowiedzi, różne dziedziny pisarskich zainteresowań. W rezultacie długich rozmów, narad podczas styczniowego plenum, kiedy Seibor-Rylski i inni „terenowcy” mówili o swoich doświadczeniach i trudnościach, wyjechała znowu wiosną tego roku grupa pisarzy w teren. Moim terenem, wybranym i zaproporowanym przeze mnie, była szlifiernia krystalów w Sobieszowie na Dolnym Śląsku. Nie dlatego, żeby to był olbrzymi zakład pracy, zdolny oślnić samymi cyframi swojej produkcji. Ani dlatego, żeby w Planie Sześcioletnim krysta-

ły były takie najważniejsze. Bez krystalów można żyć. Potrzebne nam są te krystalowe cacka głównie na eksport, na wymianę. Ale i nie ten wzgląd na wartość eksportową krystalów był najważniejszym dla mnie motywem przy powzięciu decyzji.

Mówiło się już wtedy i pisało o „przerostach technologicznych” w pierwszych książkach powstałych z doświadczeń terenowych. Apelowano się o ukazanie człowieka wraz z jego najistotniejszymi problemami, człowieka żywego. Wskazywało się na trudność dotarcia do nieuchwytnych czasem na pierwszy rzut oka spraw środowiska. W Sobieszowie w tamtejszej szlifierni, pracują ludzie, których znam od dawna i którzy mnie znają. Dlatego wybrałem Sobieszów.

Lecz skoro tylko formalności wyjazdowe zostały załatwione, przypadek zetknął mnie z problemem awansu społecznego dziewcząt przybywających na krótki kurs ze wsi, z całego województwa łódzkiego, lub z łódzkich dzielnic robotniczych. I od razu — co kandydatka, to problem, to wycinek życia. Wszystkie one dawały obraz dążenia do wiedzy, do kultury, do samodzielnosci, obraz — biorąc topograficznie — rozłożony na Łódź i całe województwo, lecz znamieny dla kraju na pierwszym etapie drogi do socjalizmu. Ile dynamiki miała każda z kandydatek! Ile przeszkód musiała pokonać, żeby stać się słuchaczką kursu. Wszelkim

orężem, złym i dobrym walczyły te dziewczęta zależnie od stopnia ideowej dojrzałości, a także od rodzaju przeszkód.

Poznawszy bogactwo przejawów życia, bogactwo konfliktów narastających ciągle tuż, na sąsiedniej ulicy Łodzi, pożałowałam swojego poprzedniego wyboru. Przez chwilę nawet chciałam się cofnąć. Żal mi tylko było pracy rozpoczętej w Sobieszowie. Bo tam jakieś „tajemne moce” podpalily suche trzcinny na torfowiskach, bo tam rozgorzała walka o zakonspirowany traktor ukryty w stojącym na uboczu młynie. Byłam po prostu ciekawa, jak działa wróg klasowy w cichym i pozornie sennym Sobieszowie. I zostałam. Zostałam, żeby zbadać na żywym, konkretnym przykładzie Sobieszowa przebieg walki klasowej. Autor pożaru jak ujawnił się dość szybko. Ale też okazało się, że walka o torfowiska, walka o traktor, jest częścią istotniejszej, głębiej ukrytej walki o nowego człowieka na Dolnym Śląsku, walki o socjalizm.

Trudny dla mnie problem wyboru terenu postanowiłam rozwiązać, umieszczając częściowo akcję zamierzanej powieści w Łodzi i w najbliższej okolicy (wieś Woźniki pod Piotrkowem, Będków, Piotrków), częściowo zaś w Sobieszowie. W tym celu postanowiłam uzupełnić materiał zebrany dotychczas w Łodzi, kładąc duży nacisk na sprawy odbudowy i przebudowy miasta. Przecież przed końcem sześciolatki

Seweryna Szmaglewska

ALICJA LISIECKA

MŁODA LITERATURA ODRODZONEGO NARODU



WIEKI HISTORII

Historia narodu chińskiego — jest historią trzech tysięcy lat feudalizmu, historią dwudziestu dwóch wieków cesarstwa, kroniką panowania wielu pokoleń dynastii mandżurskiej, która od powstania fundamentów zjednoczonego cesarstwa przetrwała aż do pierwszego zetknięcia się z obcym, „sanninczuizmu”¹⁾. Ale dzieje tego dawnego narodu są także pasmem wywołanych walk chińskiego chłopstwa, kulis i robotników, szeregiem lat zmagań się z przemocą mandarynów i generacji, wysiłkiem obywateli, urzędników i obcych najeźdźców — „kolonizatorów”, a wreszcie — w okresie rządów kuomintangowskiej klki — z imperialistycznym uciskiem, z monopolem gospodarczo-politycznym burżuazji „compradorowskiej”²⁾ z rodzin Sungów, Kungów, Cząngów i Czenów. „Naziwiska te były uosobieniem kontrrewolucji, despotycznej dyktatury, która sprzeciwiała się zasadom Sun Yat-sena, „rozsadziła od wewnątrz jednolity front narodowo-rewolucyjny, zalała krwią całe Chiny i szeroko otworzyła imperialistom podwoje kraju”³⁾ — pisał I. Jermaszew⁴⁾, charakteryzując układ sił społecznych w Chinach kuomintangowskich.

475 milionów obywateli, żyjących na obszarze 10 milionów km² — w tym 80 proc. chłopów, wegetujących w warunkach bezustannego głodu i nędzy, otrzymało wolność dopiero z chwilą powstania Chińskiej Republiki Ludowej. Wolność ta była drogo okupiona. Wywołana w ciągu wielu lat przez rewolucję chińską Tai-pingów i powstania „bokserskie”, zdobywana przez antyimperialistyczną rewolucję lat 1925-1927, przez Komunę Kantonską — a wreszcie osiągnięta dzięki bohaterstwu całego narodu, a szczególnie komunistów z czwartą i ósmą armią, uwięziona wypędzeniem Cząng Kai-szeka i imperialistycznych agresorów.

„Cesarze Szi-Huang i Wu Tu mieli małe kultury.
Cesarze Tai Tsung i Tai Tan mieli małe uczucia.
Dżengis Chan tylko umiał do orłów napinać swój łuk.

Wszyscy oni przeminęli — tylko dziś są ludzie, którzy czują” (Mao Tse-tung).

W KRĘGU POSTĘPOWYCH TRADYCJI

Literatura chińska aż do przełomu roku 1919, w którym — za sprawą postępowych pisarzy z Lu Hsü-nem na czele — lud chiński doczekał się literatury w swoim języku, opiewającej nowych pozytywnych bohaterów: chłopów i kulisów — była przeważnie rozrywką estetyczną, której oddawali się znużeni cesarze i wyższe sfery społecznej hierarchii feudalnej. Oczywiście jest funkcja klasowa tej literatury, ściśle uwarunkowana społeczną rolą jej twórców, usłuwająca wszelkie metody ucisku i wyzysku. U pisarzy, którzy nie mogli się pogodzić z otaczającą rzeczywistością, pojawiały się często akcenty mistycyzmu, irracjonalizmu, pochwały samotności i kontemplacji.



Nie braknie jednak tej literaturze także realistycznych obrazów wyzysku i nędzy mas ludowych, namiętnego oskarżenia ustroju. W poematach klasycznej literatury chińskiej VIII wieku Li Tu-po i Tu Fu — pojawiają się tchnące pesymizmem skargi na służbę wojskową i intrygi dworskie. W IX wieku po kronikarstwo, lakonicznie zanotował poeta:

„W wioskach Czin i Czou ludzie jedzą ludzi”.

Po Czu-i skarżył się na niesprawiedliwie rozłożone ciężary podatkowe. Akcenty antyklerykalne jego

jego twórczości i protest przeciwko nadużyciom urzędników — nie dotarły do chińskiego chłopstwa — analfabety, tego chłopstwa, który nie był w stanie w wiele wieków później odczytać zanotowanych ideograficznym piśmem słów poety Wu-Ki z XVII wieku:

„Młody człowiek i silny, gdy go zżera nędza,
Jakże może nie zostać bandytą?”

Ten postępowy nurt liryczny, najpopularniejszy i najchętniej uprawianego gatunku w literaturze dawnych Chin, płynął wartko, zakłócając pozorną „harmonię” żółtych władców i ich biurokratycznych zauszników. Był on niewątpliwie odbiciem losu dołów społecznych; z niekłamną namiętnością demaskował ucisk i krzywdę, odsłaniał kulisy „wielkiej rewolucji” potężnego cesarstwa.

LATA PRZEŁOMU

„Proces dojrzewania chińskiej klasy robotniczej zbliżył się z procesem redukcji Chin do roli półkolonialnego kraju” — pisał Hu Chiao-mu w „Peoples China”, w artykule „Thirty years of the Communist Party of China”. W takich warunkach kształtowały się i narastały nowe kierunki twórczości pisarzy chińskich, zmieniała oblicze sztuka, zrywająca z „filozofią powszechnego cierpiętnictwa” okresu „szanghajskiego”, powstawały nowe gatunki i formy literackie. Krótkie opowiadania i nowele, nowy teatr ludowy zrywały z dotychczasowym brakiem społecznej problematyki i stawały przed odbiorcą, rekrutującym się z mas ludowych — nurtujące go problemy. Momentami przełomowe: konferencja w Yenanie (1942) i Ogólnochiński Zjazd Sztuki (1949) ostatecznie postawiły pisarza i czytelnika po tej samej stronie „chińskiego muru” — nawiązując między nimi nie wzajemnego zrozumienia.

Bohaterem współczesnej, demokratycznej powieści chińskiej stał się mały i średniorolny chłop, kolektyw wiejski (Ou Yan Shan „Sługa ludu”), robotnik fabryki lokomotyw (Tsao Ming „Energię”), chłopski działacz społeczny (Chou Li Po „Huragan”). Nihilistyczne tendencje i pesymizm dawnej twórczości demokratycznych poetów Ai Chinga i Tien

czesnej postępowej literatury chińskiej. Jedną z pierwszych powieści udostępnionych czytelnikowi polskiemu była książka z życia młodzieży uniwersyteckiej, pióra doskonałego pisarza Szu sze-jü (pseudonim literacki Lao-sze).⁵⁾

Mniej więcej na kilka lat przed przeniesieniem stolicy z Pekinu do Nankinu (w r. 1928) rozgrywa się akcja tej „niezwykłej” powieści o „niezwykłych” ludziach i zdarzeniach. „Niezrównany pan” Czaa i jego rówieśnicy nieznani przyjaciele żyją i zabawiają się w sposób, którego mogłyby sobie życzyć najbardziej militarystyczne i reakcyjne sfery młodzieży europejskiej.

Czaa, to „w gruncie rzeczy niezły człowiek, lecz chory na atrofie woli, nie wie właściwie, co z sobą począć, błąka się w chaosie zjawisk” — pisał kiedyś Al. Jackiewicz w recenzji z „Niezrównanego pana”. Czy Czaa, to istotnie „niezły” człowiek? „Zabłąkany w chaosie zjawisk”, urzędnika burdy na uniwersytecie, własnoręcznie przywiązuje do słupa rektora — dalsze losy „syna handlarzy warzyw” pozostawiając już usługom pieściom kolegów, którzy z dumą wynoszą z bójki zdobytą trofeę: obcięte „ucho intendenta w zakrzepłej krwi” i własne rozbite, posiniaczone, „szlachetne” oblicze. „Niezły człowiek” Czaa umie urozmaicać sobie czas. Nie traci go bynajmniej na naukę. I owszem, hulać w cudzoziemskich „settlementach”, wiskając się po karierowiczowsku do dygnatarskich domów — spełnia wszystkie warunki konieczne dla nadania mu zaszczytnych nazw: próżniaka, opilec, tchórza i karierowicza. „Począwszy” Czaa ma jednak swoje dobre strony: jest „niezrównanym panem” dla kulis Sliwki, wobec którego „odczuwał pewną wdzięczność... za jego troskliwość”, ale ponieważ „pozycja towarzyska nie pozwalała mu się z prostym sługą wdawać w rozmowę”, więc zazwyczaj tylko „monosylabami zbywał jego pytania”.

Lao-sze każe nam się domyślać z przedziwnych ekwilibracji stylistycznych, że lata akcji powieści to czas, „przeżył się Japonii”, rozkwit imperializmu angielskiego, lata, kiedy dojrzewała już po rewolucji



Chiena — ustąpiły miejsca optymistycznym wizjom nowego świata. „Więc umieramy. Czy to co złego?” — zapytywał Ai Ching w dawnych refleksyjnych wierszach, obciążonych jeszcze całym intelektualnym balastem z lat 1921-1937. Obecnie wiersz jego wola:

„Poeto wstań,
Aby zacząć wzywać w moim imieniu.
Mów im
Ze idę po rosie w blasku ostatnich gwiazd...
Obudź tych, co kochają życie:
Robotników, mechaników,
malarzy”.

LITERATURA WIELKIEGO NARODU

Popularyzacja nowej literatury chińskiej w Polsce Ludowej zatacza coraz szersze kręgi. Wiadomości o kulturze chińskiej docierały do nas jeszcze do niedawna z trzeleń ręki — najczęściej przez różnych prymitywnych poszukiwaczy egzotycznych przygód, którzy z pobłażliwą wyższością traktowali wszelkie odrębności chińskiego życia. Czaszy takiego „upowszechniania” należał dziś do niepowrotnej przeszłości. Wydawnictwa nasze — szczególnie w ciągu ostatnich roku — podjęły na szeroką skalę publikację tłumaczeń na język polski najwybitniejszych utworów literatury chińskiej. Przekazuje nam ona realistyczny obraz życia i zmagania swojego narodu, uczy rozpoznawać sojuszników i wrogów, staje się pomocą także i w naszej walce o budowę nowego życia.

Dotychczas ukazały się następujące pozycje: Lao Sze „Niezrównany pan Czaa” — Tsjüe, Lu Hsün „Opowiadania”, Mao Tun „Cztery opowieści”, Ting Ling „Słońce nad rzeką Sanghan”, Czaa Szu-li „Piosenki Li Ju - Tsaja” oraz „Przemiany w Liciacuangu”. Dotyczą one głównie problematyki wsi chińskiej i przekazyują bogaty obraz jej walki o lepsze jutro. Zarazem daje się w nich uchwycić zarys tej drogi, jaką przeszła współczesna literatura chińska do pozycji realizmu socjalistycznego.

„NIEZRÓWNANY LOTR CZAOSYJUE”

Kolejne wydania powieści autorów chińskich w języku polskim dobrze ilustrują dynamikę rozwoju współ-

OPOWIADANIA „CHINSKIEGO GORKIEGO”

Jeżeli powieść Lao-sze jest optymistyczna w swoim końcowym wydźwięku, jeżeli autor pozwala nam spodziewać się, że karierowicz Czaa i prywatny denuncjator Wu Tuan wyrosną jednak ponad środowisko, o którym pisał kiedyś Mao Tse-tung, że uważało jedynie „inteligencję za czystą”, a chłopów i robotników „mięso z brudnych i niechlujnych”⁶⁾ — to mniej optymistyczne wydają się akcenty wczesnej twórczości Lu Hsüna — „ojca współczesnej, demokratycznej literatury Chin”.

„Chiński Gorki” — jak nazwano Lu Hsüna — w pierwszym okresie twórczości, w pełnych goryczy i rozczarowania utworach malował ponurą przeszłość i teraźniejszość Chin, wyrażał własny przejęciowy brak nadziei. Napisany w 1921 r. żywot wiejskiego chłopca — A Ku stanowił szczyt dotychczasowej, pełnej głębokiego realizmu, twórczości Lu Hsüna. Proletariusz chiński staje się odąd bohaterem współczesnej powieści. Początkowo jeszcze obciążony wszystkimi inteligentkami kompleksami — nabiera realnych kształtów i wymiarów, żyje własnym, odrębnym życiem, utwierdza się coraz bardziej jako centralny problem literacki.

Wydane niedawno w polskim tłumaczeniu „Opowiadania” Lu Hsüna⁷⁾, ukazują pełną ewolucję ideologiczną pisarza: od pamiętników obłąkanego do rewolucji. Jednak i refleksje obłąkanego mają ukryty postępowy wydźwięk: „Dziś zrozumiałem, że wyrosłem w kraju, gdzie od czterech tysięcy lat jada się ludzi — i o wielu lat przesiąknęło jego atmosferą...” „Wiedzieć, że nie będzie miejsca dla ludzi, którzy jedzą innych...” „Przeplatany wieloma dygresjami, odtwarzającym atmosferę lat wyzysku, pozornie tylko chaotyczny, pamiętnik obłąkanego stanowi dokument z „czasów pogardy”. O czasach tych mówi autor, że były latami samotności, latami lęku człowieka przed człowiekiem, rozczarowania i braku „pozytywnych sformułowań”. „Nie ma znaczenia, czy mój krzyk wyraża odwagę, czy smutek, czy budzi odrazę czy śmiech, ale jako krzyk musi być donośny i dlatego nie ufam się przed stosowaniem różnych chwytów: w „Lekarskiej”, na grobie Jü - era (rewolucjonisty) nagle pojawiają się kwiaty, w opowiadaniu „Jutro” Szan-zy widzi we śnie swoje dziecko. Albowiem w owym czasie koniecznością było sformułowanie pozytywne”. W ten sposób charakteryzuje autor własną metodę pisarską, stosowaną konsekwentnie we wszystkich opowiadaniach zbioru.

Lu Hsün w niezrównanie pięknych i prostych zdaniach kreśli najgłębsze konflikty epoki, przedstawiając je z właściwym sobie refleksyjnym zamysłem obserwatora. „Zwyczaj” A Ku, uosobienia wszystkich chińskich nieszczęść i poniżeń — to szczyt realistycznej twórczości pisarza Lu Hsüna. Nigdy chyba dotąd w literaturze chińskiej nie przemówił tak żywo do czytelnika obraz krzywdy chińskiej. Parobek — wamiywał, „rewolucjonista” A Ku ukazał się w pełni swej niedojrzałości ideologicznej, natury jednak tak przedziwnej skomplikowanej i bogatej. Czy A Ku mógłby stać się świadomym bojownikiem proletariackiej sprawy? — zadawały sobie pytanie Chiny wkrótce po wydaniu opowiadań Lu Hsüna.

W opowiadaniu Lu Hsüna A Ku jest jednak wzorem naiwności i czolobitności wobec jasniepanów wiejskich. Czolobitność nie pozwalała mu dostrzec przebiegłości machinacji Czu-żenów, „przystępujących” do partii rewolucyjnej. Osamotnienie, odatowanie od proletariackiego żywiołu miast uczyniły działalność A Ku przegrana. A Ku ginie za cudzą sprawę. Sprawa rewolucji nie jest jeszcze jego własna. A Ku nie potrafi zrozumieć jej głębokiego sensu. Ale tajemnicze tłumy zgromadzone wokół jego „śmiertelnego wozu” wrota inne zakończenie jakiejś nowej historii nowego, odrodzonego „za lat czterdzieści” chińskiego chłopca — rewolucjonisty.

Lu Hsün spodziewa się powrotnych narodzin A Ku. Tym razem narodzin ku lepszymu życiu — i na tym właśnie polega optymizm drugiej fazy twórczości wielkiego pisarza. Ostatni fragment zbioru przedstawia zapowiedź przełomu w stosunkach ucisku. Fragment ten jest zarazem jeszcze jednym zdaniem sprawy Lu Hsüna z własnej metody obrachunku ze starym światem. Pisarz w pięknych i namiętnych zdaniach



swych opowiadań rzucił oskarżenie panującemu systemowi. Jego utwory są najwspanialszym chyba w literaturze chińskiej wyrazem protestu wobec zalamującego się ustroju.

CHINSKA POWIEŚĆ O STAREJ I NOWEJ WSI

Forma opowiadań — często jednolub dwustronicowych, czasem zaś o rozmiarach dość pokaźnych, stała się niezwykle popularną w literaturze wyzwolonych Chin.

Cztery opowiadania Mao Tuna⁸⁾ — to jakby cztery rozdziały jednej powieści o niedoli dawnej wsi. Układ ich czyni zadość postulatowi kontynuowania tradycji starej, narodowej powieści chińskiej. „Wiosenne jedwabniki”, „Jesiennie zniwa”, „Zimowa fantazja” pozwalają autorowi na rozwinięcie całego wysokiego kunsztu malarstwa pejzażowego. Na te bogate przyrody chińskiej rozgrywa się wypadki, ilustrujące narastanie sprzeczności w łonie panującego ustroju. Kolejne udane zbiory, jedwabiu za każdym razem nie przynoszą wsi środków do życia, pograżając ją w coraz straszliwszą nędzę. Kontrast bogatego środowiska kapitalistycznego potentata i okropnych warunków rodzinny Pao Tunga jest ciekawym środkiem ekspresji artystycznej świetnego pisarza — realisty.

„Między spółdzielnią a wytwórniami serów przechodziła główna ulica z murowanymi po obu stronach domami. Zamieszkiwali ją wiejscy bogacze. A w bocznych uliczkach i w zachodniej części wsi, w brudnych glinianych lepiankach gnieździła się biedota” — stosując tę samą metodę kontrastowania, opisuje chińską wieś Ting-Ling, autorka „Słońca nad rzeką Sanghan”⁹⁾. Książka Ting-Ling to wzór chińskiej powieści realizmu socjalistycznego o przemianach zachodzących w prowincjach terenów wyzwolonych. Ze świetnie zróżnicowanego środowiska wiejskiego pisarka wytypowała doskonałą galerię postaci od charakterystycznego obszarnika Tsien Uen-kuja i nauczyciela Zena — do chłopskiego aktywisty Cząng Jü-mina i członków brygady przeprowadzającej reformę rolną. Centralnym zagadnieniem powieści Ting-Ling jest tzw. „akcja obrachunków i Oskarżeń” we wsi Ciepłe Wody, w pierwszym okresie utrwalała się władzy komunistycznej na terenach wyzwolonych z rąk Japończyków. Ting - Ling w dobitnych obrazach artystycznych maluje konflikty klasowe wsi; początkową nieufność niektórych biedaków do sprawy reformy rolnej, ich lęk przed zemstą obszarników w razie ponownego przyścia do władzy sił reakcyjnych¹⁰⁾. Nienawidź do tyrańi i wyzyskiwacza zwycięża. Szybko posuwa się naprzód proces dojrzewania ideologicznego olbrzymie, stanowiącej przeszło 90 proc. ludności wiejskiej, masy mało- i średniorolnych chłopów, w których posiadaniu przed reformą rolną znajdowało się zaledwie 32 proc. ziemi. Atmosferę nowej, rewolucyjnej wsi, krystalizowanie się jednolitej, bojowej postawy chłopstwa oddaje autorka „Słońca” z dużym talentem narracyjnym. Demaskując oszustwa i dwulicowość bogaczy, na próżno usiłujących wydstać się z potrzasku — Ting-Ling zawiązuje sensacyjną intrygę, rozwiklaną z powodzeniem w zakończeniu powieści. Autorka świetnie opanowała realistyczną metodę pisarską, narzędzie nowej, rewolucyjnej tematyki.

Równie realistycznym warsztatem twórczym może się poszczycić pisarz wysokiej klasy, twórca wielu popularnych w Chinach powieści, Czaa Szu-li, autor dwóch niedawno przetłumaczonych na polski utworów¹¹⁾.

„Piosenki Li Ju-Tsaja” to opowiadanie o walce chłopów na Obszarach Wyzwolonych, to historia ich walki o prawdziwą demokrację, o prawo do lepszych warunków życia, o obniżenie dzierżawnych i procentów od zastawu i pożyczek — pisał Mao Tun w przedmowie do książki. Pisane

prostym, ludowym językiem, przeplatane oryginalnymi ludowymi śpiewkami „Piosenki” stały się jedną z najpopularniejszych książek wsi chińskiej. Kłownia reakcyjnego sołtysa, niedociągnięcia niedowiadcznego delegata partii, rzetelny wizerunek chłopca — biedaka spod „złotego modrzewia”, chłopca, ukazanego w działaniu i walce — uczyniły z „Piosenek Li Ju - Tsaja”, wstęp do wielkiej rozprawy ze starym ustrojem wsi w „Przemianach w Liciacuangu”.

Lata 1928 — 1945 obfitowały w zdarzenia; rządy wszechwładnych wojów, sprzymierzających się kolejno z kilkoma kuomintangowską i Japończykami, krwawe obrachunki wiejskiej „arystokracji” z chłopstwem sprzymierzającym ósmą armię — stały się interesującym wątkiem powieści o dawnych „dobrach rodziny Li”¹²⁾. Bohaterem „Przemian”, żywa ilustracją społecznych przeobrażeń Liciacuangu jest Tie-so, skazany na wygnanie, z rodzinnej wsi, uczeń ludowego komunisty Cząnga, przyszły działacz chiński. W miarę coraz bardziej zacieśniającej się intrygi bogacy wiejskich, w miarę rosnących prześladowań — dojrzewa w Tie-so świadomy bojownik sprawy postępu. Z całej galerii chłopskich postaci Czaa Szu-li właśnie Tie-so jest najbardziej przekonującym bohaterem „z krwi i kości”.

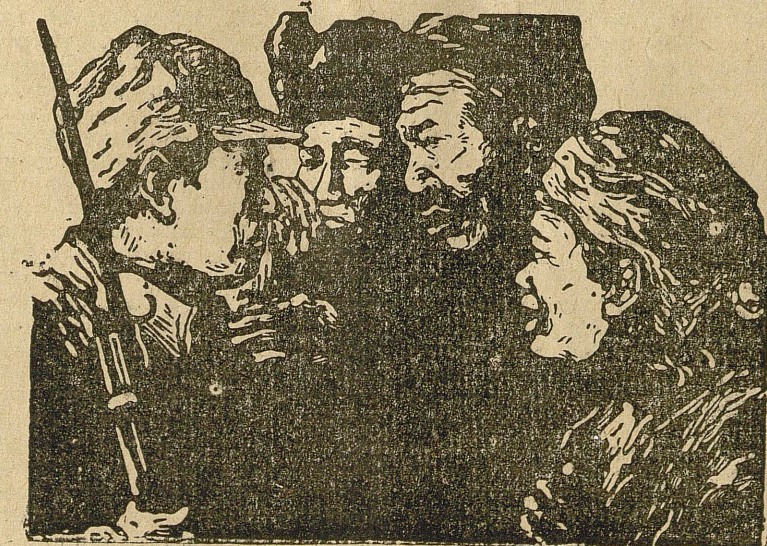


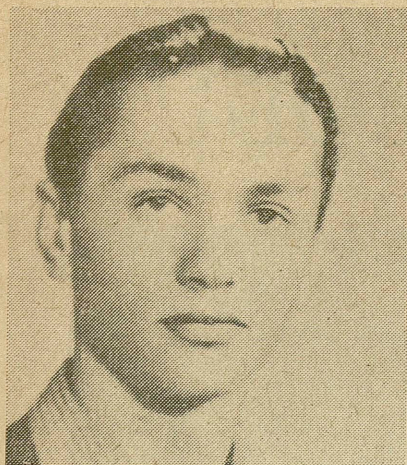
Inne postaci, często zubożone psychologicznie przez autora, pozbawione rysów indywidualnych, żyją częściej papierowym życiem. O „Przemianach” słusznie pisał W. Kriwcow, że grzeszą nadmiarem deklaracyjności w części drugiej, gdzie o nowym życiu odrodzonego Liciacuangu dowiadujemy się z wiecowego przemówienia wojty.

Twórczość Czaa Szu-li i Ting-Ling — to wyrazisty wskaźnik drogi rozwojowej młodego piśmarstwa chińskiego. Skończył się przedwojenny „okres szanghajski” literatury, lata, w których losy mas ludowych były usunięte poza nawias życia kulturalnego. Dziś literatura ta służy w pełni narodowi kroczącemu drogą do socjalizmu.

Alicja Lisiecka.

- 1) Sanninczuizm — program rewolucji burżuazyjno-demokratycznej dr Sun Yat-sena. Rewolucja ta w 1911 r. obaliła ostatecznie dynastię mandżurską.
- 2) Kilka burżuazyjnych kupców i bankierów, reprezentujących kapitał monopolistyczny.
- 3) I. Jermaszew, Cztery dynastie Chin, Prasa Wojskowa, 1950.
- 4) Lao-sze, „Niezrównany pan Czaa-Tsjüe”, przeł. W. Jabłoński, Warszawa, 1948, „Wiedza”, s. 250.
- 5) Z przemówienia Mao Tse-tunga, cytowanego przez G. Jaszunskiego (G. Jaszunski „Narodowy Chłopski”, Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza”, str. 240).
- 6) Lu Hsün „Opowiadania”, przeł. O. Wojtaszewska i W. Kindler, Warszawa, 1951, „Czytelnik”, str. 177.
- 7) Mao Tun, „Cztery opowieści”, przeł. W. Kościński, Warszawa, 1951, „Czytelnik”, str. 107.
- 8) Ting-Ling, „Słońce nad rzeką Sanghan”, Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza”, str. 303.
- 9) F. Jensen w swojej książce o Chinach („Chiny zwyciężają”, Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza”, str. 325) pisze, że zdarzyły się wypadki zwrotu czynnej już przez chłopów ziemi obszarniczej jej po-przedniemu właścicielowi.
- 10) Czaa Szu-li, „Piosenki Li Ju-Tsaja”, przeł. J. Stefczyk, Warszawa, 1950, „Czytelnik”, str. 142; „Przemiany w Liciacuangu”, Warszawa, 1950, „Książka i Wiedza”, str. 201, przekł. T. Zeroskiego.
- 11) Liciacuangu — znaczy „dobra rodziny Li”.





Wiktor Woroszyński

Mielśmy już w prasie literackiej sporo wypowiedzi na temat twórczości Wiktora Woroszyńskiego. I nie bez przyczyny — mimo szeregu stawianych mu poważnych niejednokrotnie zarzutów — pasja, szczerść i wrażliwość poety na aktualne zagadnienia wydaje się być niewątpliwa i jedna mu czytelnika. Co więcej, Woroszyński pisze dużo — utwory jego reprezentują szeroki wachlarz zagadnień tematycznych i warsztatowych. Krytyk otrzymuje wskutek tego materiał trudny, ale i wdziczny zarazem, zmuszający do ustawicznej czujności dla należytego określenia aktualnego etapu rozwoju poety.

Jednym z takich etapów, i to dość ważnym i charakterystycznym, by zasłużyć na dokładniejsze omówienie, był poemat „Świt nad Nową Huta”. Tytuł już zapowiadał podjęcie przez poetę jednego z najbardziej kluczowych, z racji swego znaczenia, tematów — budowy wielkiego, socjalistycznego giganta przemysłowego. Poza „Rzecz o trasie W-Z” Kubiaka — utworem, który z wielu względów nie mógł stać się pełnowartościowym precedensem — tego typu ambitnych zamierzeń w powojennej poezji nie mieliśmy. A więc niewątpliwie przypada Woroszyńskiemu zasługa nowatorstwa ideowo-tematycznego, pociągającego jednak za sobą nie byle jaką odpowiedzialność. Czy i jak podołał jej poeta?

Zasadniczo znamy Woroszyńskiego jako autora wierszy lirycznych — w sensie osobistego ujęcia tematu poetyckiego. Czytając je obujemy się z poetą poniekąd bezpośrednio, patrzymy na rzeczywistość jego oczami, oceniamy ją przez pryzmat jego poglądów, wiemy, jaki jest jego własny stosunek do poruszanych kwestii. Przy realizacji założeń ideowo-tematycznych „Świtu” należałoby jednak uwzględnić także i epicko-dramatyczny ich charakter.

Powinien się on wyrażać w odpowiednim — rozmachu socjalistycznego budownictwa, w szeregu obrazów, ukazujących twórcę oddziaływanie kolektywnej pracy na człowieka — jednym słowem w danu typowych fragmentów życia lu-

ANDRZEJ DRAWICZ

PIERWSZA LINIA WALKI

dzi i miasta poprzez ich przedstawienie w działaniu. Na plan pierwszy powinien więc wystąpić fakt.

Nie przesadza to oczywiście jakiegos wykluczenia, czy ograniczenia komentarza odautorskiego, wyrażonego przez czysto osobiste partie — domaganie się tego w imię „czystości gatunków” byłoby, najładniej mówiąc, grubym anachronizmem. Nie można więc mieć do Woroszyńskiego żadnych pretensji za podkreślenie swego „ja” — wiemy, iż dobry poeta potrafi ku pożytkowi utworu spleść wszystkie te elementy w nierozdzielalną całość — przykładem choćby twórczości Włodzimierza Majakowskiego.

Istnieje jednak pewien warunek przy stawianiu owej odautorskiej „kropki nad i”. Mianowicie — że stawia się ją we właściwym miejscu — ściślej, że autor podkreśla i wydobyla na pierwszy plan to, co jest rzeczywiście najistotniejsze, i nierozdzielnie łączy się z całością opisu. Po drugie — że wypowiadając swą opinię, nie mówi się więcej, niż faktycznie wynika z tekstu, bo wypowiedź taka staje się doczepionym, publicystycznym komentarzem i autor rezygnuje, miast wyciągać wnioski. U Woroszyńskiego ów drugi warunek nie został całkowicie spełniony. Równowaga elementu subiektywno-refleksyjnego i opłowo-objektowego została zachwiana na niekorzyść tego ostatniego.

Zwróćmy uwagę, że jedyną pełnokrwistą postacią utworu jest jego bohater główny — Zdzisiek. Poeta ta zresztą przekonywująco, ujęta w swym rozwoju dialektycznie, ale, jak się rzekło, jedyna, a jej indywidualne perypetie mają sprawy ogólne jedynie za tło.

Nie wystarczy ograniczyć się do stwierdzenia:

„Koledzy dali poznać sens

Żądając wiele, nie pociągając

— chcielibyśmy zobaczyć to na konkretnych przykładach. Braku żywej treści opisowej, owego „miąższu” epickiego, nie rekompensują szkice, choćby najtrafniejsze ujęcia „dalszego planu”.

„O kraju mój rosnący w górę
Ziemio radości i postępu
Dziejów zrodziła cię wichura,
Burzliwa krew w twych żyłach

W ten sposób uzyskujemy wprawdzie wielostronny obraz rozwoju i działalności głównej postaci, ale nie stanowią to szerszego obrazu rozwoju miasta — giganta. Bohaterem utworu nie staje się, jak to leżało w założeniach, kolektyw budowniczych Nowej Huty — a tylko za nadto wyobcowany z anonimowej gromady jeden jego przedstawiciel — Zdzisiek.

Przy tego typu niedostatku materiału opisowego partie odautorskie, choćby najpiękniej pomyslane i niezasadnione, (spotkanie i pożegnanie autora z bohaterem stanowi kłamy zamykające poemat), zawisają w próżni. Bez należytego podłoża opisowego ogólny wniosek nie został bowiem właściwie skonkretyzowany.

Istnieją próby takiej konkretyzacji: jest ukazana scena podejmowania zobowiązań dla wyrażenia solidarności z walką ludu koreańskiego. Obraz jest przekonywujący i uzasadnia wyciągnięty wniosek. Nie można natomiast tego samego powiedzieć o stwierdzeniach typu „Nowa Huta uczy się komunizmu”, „Nowa Huta budując walczą” — gdzie odpowiednie fragmenty epickie są zbyt utłumione dla skonstruowania tak daleko idących konkluzji.

Ambitną próbą było usiłowanie konkretyzacji stwierdzenia że „Nowa Huta uczy się komunizmu”, — i znów udało się pocieć tylko częściami „na bliskość dotyku do komunizmu podejść”. Odpowiedni obraz poetycki przedstawia obojętnie zgłoszenie się do pracy przy rozładunku wagonów kolejowych; „Tutaj rozmowę przetrwał

U wejścia do namiotu wyrosły
— Koledzy, nagły transport
wyładować trzebał

Kto obojętnie pomóc chce?”

To wydobyć „swobodnego trud” swobodnie zreszonych ludzi” jako najistotniejszą cechę komunistycznego jutra jest jednak dla jego charakterystyki zbyt skąpe, za mało jeszcze oddaje patos przyszłych dni.

Wniosek ogólny z tych rozważań: utworu niecałkowicie wypełnia właściwe swe założenia. Nie stanowi jednak pozycji chybionej — przy braku zobrazowania całokształtu zagadnienia, bardzo ważny moment — kształtowanie świadomości jednostki pod wpływem pracy kolektywnej, ujmując bardzo trafnie. Niewątpliwym osiągnięciem jest też dalsze oczyszczenie języka — chętnie stosowane przez poetę metafory stają się celniej — przybliża, a nie „udziwnia”.

Narzuć pewnych wyraźnych rygorów weryfikacyjnych wpływa wreszcie na oszczędność środków ekspresji — następuje redukcja często i słusznie wytykanego Woroszyńskiemu gadulstwa, owej „waty słownej”. Tok wiersza staje się potoczny, gładki, komunikatywny także dla mniej literacko wyrobionego czytelnika.

A więc — ambitne zamierzenie całkowicie spełnione nie zostało, ale pomysł nie powoduje dyskwalifikacji — częściowe osiągnięcia pozwalają mówić o kroku naprzód, i to — pamiętajmy — kroku o charakterze pionierskim.

W dorobku literackim Woroszyńskiego znalazła się ostatnio jeszcze jedna pozycja — jest nią cykl wierszy „Pierwsza linia pokonu”. Złożyły się nań wiersze pisane w latach 1949 — 1950 — w większości wypadków publikowane już przed tym w czasopiśmie.

Cechą charakterystyczną, uderzającą już przy pobieżnym przejrzaniu zawartości tomiku, jest ogromna różnorodność zamieszczonych w nim utworów. Odnajdujemy znowu ową „polityczność” wierszy Woroszyńskiego, wyrażającą się w żywej i czujnej reakcji na węzłowe, zasadnicze problemy współczesności. Reakcja ta, obejmując swym zasięgiem także tematykę historyczną, napotyka wiersze o bohaterach ruchu robotniczego Hilbnerze, Rutkowskim, Kniewskim. Oczywiście niedaleka przeszłość traktowana jest z perspektywy teraźniejszości — w oparciu o wielkie tradycje powstają nowe dzieła budownictwa socjalistycznego, którym wiersze Woroszyńskiego wychodzą naprzeciw. Dużą część tomiku zajmują wiersze o tematyce międzynarodowej („Piosenka o bracie”, „Po aresztowaniu Maxa Reimanna”, „Jugosłowiańska partyzantka”, „Przyjacielowi z Korei”). Ogólnie biorąc ten zbiorek nadaje ta ostatnia grupa, wyodrębniona w cykl pod nazwą „Pierwsza linia pokonu” — stąd też i tytuł tomiku.

Jest jednak w zbiorze dział osobny, zażyłowany „Przystanek liryczny”, w którym odnajdujemy motywy dotychczas — poza małymi wyjątkami — u Woroszyńskiego nie spotykamy, motywy spraw osobistych, intymnych, ukazujących w zestawieniu ze sprawami ogólnymi. Wypływa więc stary i wciąż aktualny problem: czy poeta, żyjący w okresie potężnych, rewolucyjnych przemian, starający się aktywnie współpracować w realizacji wielkich zadań naszej epoki — epoki budownictwa socjalizmu — ma prawo także do pewnego zakresu osobistego, ściśle intymnej tematyki?

Dla Woroszyńskiego pytanie takie właściwie nie istnieje — a raczej zaraz po postawieniu tego problemu otrzymujemy na odpowiedź. Streszcza się ona w stwierdzeniu, że nie ma żadnego rozdźwięku między sprawami „małymi” i „wielkimi”, o ile na te pierwsze patrzy się w aspekcie tych ostatnich. Sprawa szczęścia osobistego jest nierozdzielnie związana ze sprawą ogólnonarodowej i ogólnowiatowej walki o powszechne szczęście, zatem — jedno nie przysłania drugiego; na odwrót oba zakresy wzajemnie się uzupełniają.

„...bo to jedno — żona, syn
i wielkie życie,
którego kochać, jak ich, nie
przestanie...”

Konsekwentne rozwinięcie takiego stanowiska w traktowaniu spraw ogólnych i osobistych napotykamy zwłaszcza w wierszu „Znowu wieczór” — zwartym, prostym i bezpośrednim — stanowiącym niewątpliwie jedną z najlepszych pozycji zbioru:

„Znowu wieczór, Już wiosna
Syn kończy piąty miesiąc
Syn kończy piąty miesiąc
Krag lampy, zegar tyka...
Malutkie szczęście? Nieprawda!
Dobrze, że rosną synowie
Dobrze, że uczą się żony,
ale nasze szczęście jest wielkie
nie ugrzeźniemy w drobniakach!”

„W bitwie staną w pierwszym szeregu
Ci, co żony kochają i matki
i komunizm pierwszy przeczuja
ci, co widzą synów w kolebkach”.

W myśl tych założeń mamy więc obok wierszy ściśle subiektywnych, także i takie w których element osobisty stanowi tylko punkt wyjścia do spraw najogólniejszych związanych z polityczną, agitatorską wymową wierszy. Tego rodzaju stanowisko poety wydaje się być bezwzględnie uczciwe i najwłaściwsze. Zupełnie przekonany czytelnik na trochę niespokojne wyznanie:

„Dzisiaj
tylko o swoim. Zle? Może”.
odpowiada — właśnie, że dobrze i słusznie!

Stwierdziłmy już, że utwory zbioru są różnorodne — pod względem tematyki, sposobów podejścia do zagadnienia twórczości — niestety zaś, także i pod względem wartości.

I tak — zbiór otwiera „Ballada o Polsce Ludowej” — gdzie poeta personifikuje idee walki o niepodległą, ludową ojczyznę w postaci wytrwałego piechura. Zamierzenie piękne — ale odrzucenie wszelkich wymogów weryfikacji, rozluźnienie wewnętrznej spójności wiersza, zamienienie go w jakąś swobodną pseudo-gawędę powoduje, że utwór nieomal przestaje być wierszem — i traci przez to możliwość właściwego oddziaływania. Podobnie rzecz się ma i w „Sprawozdaniu lipcowym”, jak również „W sprawie ilości”. Wypada przypomnieć, że nowatorstwo poetyckie to nie tylko odrzucenie konwencjonalnych wymogów formalnych — ale i wypracowanie sobie własnych form dla nowych treści. Po co zresztą przypominać — już o parę stron dalej widać wyraźny zwrot na lepsze — w wierszu „Ci co zginęli” oszczędność i zwarte, niemal skąpe dawkanie środków wyrazu, kapitalnie umiarkowanie, siłę oddziaływania „wiersza”, nadające mu wszelkie cechy „dobrych roboty”. Wreszcie doskonały w kompozycji i sile wyrazu jest następny wiersz „Komuniści, naprzód!”, zyskujący zresztą coraz

większą popularność. Nie znając jednak oryginału radzieckiego, na którym utwór się opiera nie można z całą pewnością stwierdzić, ile w tym zasługi Woroszyńskiego, a ile Miedzirowa. Bezsprzecznie do najlepszych w zbiorze należy też jeden z wierszy „Przystanek liryczny” — a mianowicie, także bardzo już popularne „Imię” nawiązujące do pamięci Feliksa Dzierżyńskiego. O zaletach innych utworów tego cyklu wspomnieliśmy już poprzednio. Na korzyść poety zapisać można i szereg dalszych utworów — „Po aresztowaniu Maxa Reimanna” — wiersz pięknie ustawiający problem przyjaźni polsko-niemieckiej. Właściwym tutaj także „Balladę o latającym Holendrze” — „Rosję”, „Masekiewską noc”. Niestety, znowu, tym razem na końcu, odnajdujemy pogłos gawędziarstwa, dowolnego kojarzenia obrazów poetyckich przy pewnej nonszalancji i niedbałości, co nie pozwala nam uznać za całkowicie udany, wiersza „Druga piosenka o bracie”, mimo jego szczerości i wielkiego ładunku emocjonalnego.

Jest rzeczą nieomal pewną, że twórca tak poważnie pojmujący swe obowiązki jak Woroszyński wyciągnie wnioski z krytycznych uwag, jakich mu się zresztą w prasie nie skąpi, przede wszystkim w kierunku dopracowania się własnej jednolitej metody twórczej, przy eliminacji wszelkich łatwin, gadulstwa, przypadkowości skojarzeń przy dalszej konkretyzacji i uściśleniu wypowiedzi.

Uproszczeniem zagadnienia byłoby wniosek, że problem właściwych dróg rozwoju indywidualności twórczej poety, to problem niejako techniczny, że polega on na wyznaczeniu takiego, a nie innego sposobu konstruowania wiersza. Adekwatności treści i formy nie osiągniemy, stosując jako receptę tego rodzaju uproszczenia, są to problemy, które świadomości poety musi głęboko przepracować, by sformułować pewne samodzielne wnioski przybierające później charakter roboczych dyrektyw.

Stąd też nonsensem byłoby zalecanie Woroszyńskiemu używania wiersza wolnego, czy też regularnego, lub zgola stroficznego tych rzeczy dopracuje się poeta sam. Nieprzypadkowo tytuł ostatniego zbioru brzmi „Pierwsza linia pokonu”. Wiktor Woroszyński stara się, świadomie zając w swej twórczości jedno ze stanowisk, na których literatura toczy w tej chwili bitwę o przyszłe oblicze świata. Nieprzypadkowo jeden z wierszy tego zbioru znalazł się w wielkiej międzynarodowej antologii wydanej ostatnio w Związku Radzieckim, a zatytułowanej „Początek świata w ciebie o pokój”. Istnieje wiele powodów, dla których, nie narazając się na zarzut łatwego optymizmu, możemy wyrazić wdanie w możliwość realizacji ambitnych zamierzeń poety — możliwość, która coraz bardziej nabiera cech realnych.

Andrzej Drawicz

BOGDAN WOJDOWSKI

T W O R Z Y W O P R O Z Y

Wśród książek opublikowanych w 25-tą rocznicę śmierci wielkiego działacza robotniczego — tom „Opowiadania o Feliksie Dzierżyńskim”⁽¹⁾ zajmuje niewątpliwie centralne miejsce. Zawiera on cztery osobne opowiadania, które łączy ze sobą nie tylko postać tytułowa i leżący u podstaw ich powstania zamiar zbeletryzowania drogi bojowej rewolucyjnej w kontekście walki klasowej proletariatu, lecz również cały szereg ubocznych, choć nie mało ważnych właściwości artystycznych.

Pierwszą sprawą, jaka nasuwa się na wstępie, jest zagadnienie twórczości. Jest to zagadnienie palące, zwłaszcza, że zrozumiałych względów, na terenach literatury dokumentarnej, a tak właśnie dokumentarny charakter noszą omawiane opowiadania.

Znamy powszechnie fakt, że, jak szeroko posługiwano się prozą mieszczańską, zwłaszcza w momencie swych narodzin i żywiołowego rozwoju, wszelkimi formami pozaliterackiego piśmiennictwa. Siegała po książkę handlową (Balzac), raport żeglarski (Defoe) pamiętnik (Goethe) czy wreszcie fragment pamfletu politycznego lub rozprawy teoretycznej (Swift). Na naszych oczach przebiega podobny proces i jeśli gdzieś, to właśnie na terenie prozy dokumentarnej, jest on najbardziej uchwytany. Rzecz jasna, należy zdać sobie dobrze sprawę z jakościowej różnicy obydwu analogicznych procesów rozwoju — prozy mieszczańskiej i prozy realizmu socjalistycznego, oraz uznać te analogie za czysto zewnętrzną, bo, jakkolwiek proza współczesna karmi się podobnie przejawami poaartyścijskiego piśmiennictwa, to rozporządza już nowym, odmiennym arsenalem środków ideologicznych i artystycznych.

Autorzy opowiadań o Dzierżyńskim, pragnąc utrwalić określony moment historyczny, musieli zwrócić się w stronę dokumentu. Jaki to dokument? Przede wszystkim — ulotka Ułotka mobilizująca do strajku. Odezwa wyzywająca na demonstrację. Także — nielegalna prasa robotnicza. To są pierwszorzędnej wagi dokumenty historyczne. Ich nieocenione wartości w pełni wychodzą na jaw w konfrontacji z burżuazyjną prasą, z oficjalnym

artykułem, z oficjalnie zaignaną historiografią. Ale to jeszcze nie wszystko. Nie pomijamy wszelkiego rodzaju dokumentów „ubocznych”. Gryps więzienny, list zesłanego, pamiętnik pisany ukradkiem w celi, wreszcie wspomnienie — nieoceniony przyczynek biograficzny — ogłoszone w organie robotniczym. Te świadectwa walki klasowej proletariatu winny być przez prozę gruntownie wyzyskane. Wykorzystanie ich daje twórcy do ręki bogate tworzywo. W naszym konkretnym wypadku rozporządza on opublikowanym „Pamiętnikiem więźnia”⁽²⁾, tomem pism wybranych⁽³⁾ Feliksa Dzierżyńskiego, po którym zbiorom wspomnień i wypowiedzi⁽⁴⁾ towarzyszy walki, wreszcie album zdjęć, dokumentów i kopii⁽⁵⁾.

Autorzy wszystkich czterech opowiadań udanie wykorzystali bogaty materiał, jaki nasuwa się przy komponowaniu obrazu Feliksa Dzierżyńskiego. J. Pytlakowski („Młodość naszego wieku”) konstruuje dialog z zarejestrowanych wypowiedzi i prac rewolucjonistów. Znalazły się tu szczęśliwie m. in. fragmenty z listów do siostry, z artykułu o Antku Rosolu, żeby nie wycisnąć wszystkich. Podobnie radzi sobie J. Piórkowski („Pamiętnik nieustający”), wplatając w treść swoje noweli zwroty z ulotek i listów Dzierżyńskiego, cytaty z „Iskry”, opinie Róży Luksemburg, zdania Lenina, Kasprzaka. Zaobserwować to możemy także zarówno u Borowskiego („Czerwony Maj”), jak i J. Millera („Towarzysz Józef”).

Ta metoda twórczej, artystycznej reprodukcji zdarzeń i postaci na podstawie dochowanego materiału dokumentarnego ma jeszcze jedną zaletę. Przed pisarzem, mającym za zadanie beletryzację tematu historycznego, staje pytanie: jak odzworować charakterystyczne cechy ówczesnego języka? Jaki zasób słów i pojęć konieczny jest do odtworzenia kolorytu czasu i środowiska? Zazwyczaj pisarz postępuje w ten sposób, że wylania z literatury danego okresu takie czy inne archaizmy i następnie skwapliwie uryka nimi swe dzieło. Ale np. odwołanie się do literatury młodopolskiej, do języka modernistów dałoby w naszym wypadku, już najmniej gwa-

rancy realistycznej prawdy. Sprawa jest w dużym stopniu rozwiązana, o ile pisarz urabia styl swego utworu na ówczesnej publicystyce rewolucyjnej. Właśnie styl Lenina, Róży Luksemburg, Feliksa Dzierżyńskiego jest żywym, czynnym językiem ludu. Nawigowanie do tych tradycji raz jeszcze daje realność broń do ręki.

Wskazanie na źródła, z których prozaik czerpie tworzywo, jest elementarną koniecznością, ale przyznanie autorowi racji w wyborze materiału nie rozstrzyga o cenie ostatecznych rezultatów twórczych. Pozostaje w każdym konkretnym wypadku do zbadania kwestia umiejętności odtworzenia fabuły z dokumentu, przetopienia faktów na fikcję artystyczną, uszeregowania ich i rozmieszczenia w obrazie literackim.

Jerzy Miller, odwiedzając konspiracyjną działalność Feliksa Dzierżyńskiego na terenie Kongresówki, milcząco założył, że warunki, w jakich pracował działacz, sytuacja, w jakiej narosła fala protestu społecznego — a więc rzeczywiste tło dramatu, jaki rozgrywał się w jego noweli — to rzeczy z góry wiadome i nie wymagające wyjaśnień. Trudno narzucać autorowi wniosek o konieczności rozszerzenia ram, być może skromnej w zamierzeniu noweli, lecz tutaj nasuwa się on nieodparcie. Wyszło by to na korzyść utworu, już chociażby z tego względu, że czyn Felleria (terrorystyczny zamach na fabrykanta) prosi się o szerszą motywację. Chcemy wiedzieć, jakie pobudki kierowały nim, kiedy dokonywał zamachu, bynajmniej jednak nie w celu usprawiedliwienia go. Ocena jego czynu, w następstwie którego ginie bezcelowo grupa robotników, może być tylko jedna — taka, jaką dał Dzierżyński I w tym punkcie Miller ma rację. Scena, w której czytelnik przytomnie sobie przeprzeż działacza terrorystów od rewolucjonistów, warta była napisania tej noweli. Zarzucając Millerowi brak motywacji postępowania Felleria mam na względzie właśnie centralny jej problem. Chodzi o to, że należy wyposażyć każdego z działających bohaterów w taką rację, na jaką go stać. Miller wyobcował czyn Felleria z otaczającego go kontekstu, a tym samym pozbawił swą

nowelę dramatycznego starcia między stanowiskiem Dzierżyńskiego, reprezentującego rewolucyjny nurt w ruchu a tymi, którzy stoją za plecami Felleria I to w pierwszym rzędzie zaważyło ujemnie na noweli, która, choć słusnie i prawidłowo, ale bez zdecydowanych barw reprodukuje postać Dzierżyńskiego. Niewyzyskane perspektywy i nieosiągnięta głębia obrazu — oto powód, który zdecydował o tym, że autor nie nakreślił tytułowej postaci z należytą plastyką.

Jerzy Pytlakowski natomiast gruntownie podbudował swoje opowiadanie, ściśle umiejscowił je w czasie, rzutując działalność Dzierżyńskiego na ogólnie tło walki klasowej proletariatu Kongresówki. Akcja strajkowa robotników zewsząd, demonstracja, walka z łamistrakami, wreszcie uwolnienie kierujących akcją — Feliksa Dzierżyńskiego oraz Antka Rosola, stanowią w grubym, rzecz jasna, zarysie — treść straszczonego opowiadania Pytlakowskiego. Autor usiłuje, z pomyślnym zresztą skutkiem, przybliżyć obraz rewolucjonisty, ukazać Dzierżyńskiego również i w wymiarach dnia powszedniego. Tym celem służy chyba scena wstępna — w podróży, w mieszkaniu granicznym, wśród przemysłowców w rodzinie pośrednika. Pytlakowski jednak czasami nadużywa niektórych farb, poświęcając — bez widocznej potrzeby dla całości kompozycji — swą uwagę drobniaczkom, być może mniej istotnym, lecz wnioskując z jego intencji przyznać mu należy w zasadzie rację.

Na szczególną uwagę zasługują pełne pletymyśm odtworzenie rodziny Rosolów. Ci bliscy współpracownicy Dzierżyńskiego, świadomi, zdecydowani rewolucyjnie oddali mu, jak to zresztą podkreślił autor opowiadania, nieocenione usługi w momencie, gdy po przyjeździe z Litwy do Warszawy stanął wobec konieczności nawiązania kontaktów z poszczególnymi ogniwami organizacji politycznej, z masami proletariatu stolicy. Pytlakowski swój naczelny zamiar bez wątpienia spełnił. Opowiadanie uoocenia nam ściśle powiązania, łączące czołowego działacza z klasą robotniczą Warszawy, ukazując bezpośrednio, żywe więzy pomiędzy rewolucyjną socjal-demokracją a masami.

Natomiast podnieść należy zarzut, że autor nie odgródził zdecydowanie prawnicowego, oportunistycznego nurtu w ruchu robotniczym od słusznej drogi walki, która toczy się na kartach jego opowiadania. Ze nie jest to głosowy zarzut, ani nieuzasadniona pretensja świadczy fakt, iż autor, wyczuwając wagę tego zagadnienia, usiłuje w kilku miejscach, niestety zbyt nieśmiało i ogólnikowo podjąć tę kwestię.

Opowiadanie Pytlakowskiego zamyka sceny z więzienia w Siedlcach, gdzie Dzierżyński z właściwym sobie oddaniem opiekuje się konającym towarzyszem. Pytlakowski trafnie odgadł, jaki walor emocjonalny posiadają dowody hartu moralnego, wewnętrznej siły charakteru Dzierżyńskiego: wynoszenie na plecach bezsilnego Antka na spacer więzienny, wymyślanie mu rzekomych grypsów od matki... Powściągliwość, z jaką kreśli te sceny, tym bardziej utrwała je w pamięci.

Sugestywny obraz stworzył Jerzy Piórkowski: „Pamiętnik nieustający” to najbardziej zwarte w całym tomie opowiadanie, które zawiera cały spłot nowych, ważkich zagadnień. Zwarta kompozycja, właściwe rozmieszczenie i hierarchizacja problematyki, uwydatnienie zasadniczego podziału, biegnącego na linii dzielącej rewolucyjną socjal-demokrację od oportunistycznej PPS, plastyka w opisie masek, na której dochodzi do rozpoznania wrogiej ideologii, dramatyczne akcenty w ujęciu sytuacji Kasprzaka, ujmująca prostota, z jaką kreśli autor postać młodego Dzierżyńskiego — oto w skrócie główne walory utworu Piórkowskiego, które sprawiają, że czyta się to opowiadanie z uczuciem zaspokojonej satysfakcji.

O ile pozycja Piórkowskiego w tym tomie pozwala na wydanie laconicznej, jednoznacznej oceny, o tyle praca Borowskiego wymaga już pewnego omówienia, bez którego wyrok nad nią mógłby wypaść krzywdząco. Powiedzmy otwarcie: „Czerwony maj” nie jest skończonym utworem prozacyjnym. Jest nie skończonym niekończącym się dialogiem, że autor przydał mu podtytuł „Notatki do opowiadania”. Mając w pamięci „Opowiadania z książek i

gazet” wolno przypuścić, że czysto publicystyczne, wytrzebione z wszelkich elementów artystycznego obrazu partie „Czerwonego maja” nie są wynikiem pośpiechu pisarskiego, a owocem metodycznych poszukiwań prozaika obdażonego nieprzeciętną inwencją twórczą i właśnie ta metoda publicystycznego skrótu, jaką wprowadza Borowski do swego opowiadania, każe je zakwalifikować jako nieskończony utwór prozacyjny. Sucha relacja zastępuje często w prozie obraz. Proza łatwo przysięga publicystyką i co do tego nie ma chyba żadnych nieporozumień. Ogniskiem sporu są raczej granice jej stosowności. Jest rzeczą oczywistą, że istnieją pewne propozycje, poza które prozaik na ogół nie wykracza. I na odwrót. Publicysta, który zbyt często posługuje się metaforą, naraża się na zarzut nieręczowości ze strony dziennikarza.

Ale przy wszystkich zastrzeżeniach jest to niewątpliwie pouczający pokaz pracy prozaika. Borowski potrafił w ostrym skrócie objąć bogaty zakres problematyki, której obrazowe uooczenie zajęłoby nieskończenie więcej miejsca, wymagałoby wzbogacenia galerii typów ludzkich. I poniekąd zaletą skrótu Borowskiego jest fakt, że wypunktował on to wszystko, co w gruncie rzeczy winno być zobrazowane. Ten swoisty konsept prozy. Borowskiego może stać się przedmiotem pożytecznych studiów pisarskich.

Lektura czterech opowiadań o Dzierżyńskim nie może zaspokoić odbiorcy. Na prozaików czeka wielki temat epicki. Na epopeję o Dzierżyńskim czekają nowi czytelnicy.

Bogdan Wojdowski

1) Opowiadania o Feliksie Dzierżyńskim. Redaktor H. Wilezka, „Czytelnik”, 1951 r.

2) Feliks Dzierżyński — Pamiętnik więźnia. „Książka i Wiedza” 1951 rok.

3) Feliks Dzierżyński — Pisma wybrane. „Książka i Wiedza”, 1951 r.

4) Feliks Dzierżyński we wspomnieniach i wypowiedziach. „Książka i Wiedza”, 1951 r.

5) Feliks Dzierżyński — 1877 — 1928. Wszystkie pozycje opracowane w Wydawnictwie Historii Partii KC PZPR.

SEWERYN SKULSKI

Z notatnika
agitatora

Już się robi szaro, widnokrąg zawleka się ciemnymi chmurami i po wiarach poczynają nas ciąć arobymy aszczym, tak dawno upragnionym i oczekiwanym przez tłumy naszego terenu. Jest to z kolei piąty aszczym tej jesieni. Choć gleba na całą głębokość była wysuszoną jak pieprz, ale aszczyma wilgoć sięgnęła już do głębi zasiewów. Jesteśmy na gramażach mataszewo, ja z Komitetu Gminnego ZPS-u i tamtejszy sołtys, Bejger. Sołtys się cieszy i już się cieszy, że wrogowie rolni Ludowej przestaną wreszcie rachować na skutki suszy.

Pierwsze wejście ziół po jesiennej siewach mowy o niktym ziołach na przyszłość. Gazie była dana i to stosunkowo wcześniej podorywką, tam żyta i pszenice nieco kiełkowały, ale ból chwytał za serce gdy się patrzyło na te kielkowanie: co kuka stop jeden kielk od drugiego. Dziś inaczej; czerwone szczyptorka żyta i pszenice równo wyłazła z ziemi a pszenica wita nas swoją świeżą zielenią.

Bejger i ja jesteśmy zadowoleni, rozmawiamy jak to wykorzystaliśmy tej jesieni niskie ceny nawozów sztucznych, których daliśmy pod ożyminy więcej niż w roku ubiegłym, aby następne zima przyniosły obfite plony.

Szaro się robi, ale jeszcze przed sobą mamy kilka domów, do których wjeżdżamy w sprawie zaległego zboża w planowym skupie. Przed nami pierwszy, nowy dom parafian. Nie palac to uprządkie, ale schludny dom gospodarki, obok którego nowa stodółka i dalej młocnica obora ze stajnią, także nowozbudowane z pustaków. Weszliśmy i po słowach przywitania, pytamy: „jak się tu wam, ludzie, żyje?” — „A żyje się jak grochowi przy drodze. Skubią nas i skubią” — odzywa się od pieca manewrująca garmkami kobieta.

„Nie, nie przysyłamy was skubać” — mówi sołtys — lecz przypominacie wasz obowiązek. Wicie, że zalegacie w odstawie zboża, za dwa dni mamy w naszej gromadzie masową odstawę, i wy powinniście znaleźć się pomiędzy gospodarzami odwożącymi zboże i ziemniaki do spółdzielni.”

Gospodarze milczą a gospodyni, widocznie ze zdenerwowania wyłata nieco zupy z garnka na rozgrzaną kuchnię, płynący i unosi się parą a ona mówi: „Zawsze daj i da, a co my i dzieciaki będą żarli. Teraz gorzej niż przed wojną”.

„Co wam gorzej niż przed wojną? A czy nie służyliście razem ze mną na jednym folwarku? Mieszkaliście w domu, a nie w domu, chodziliście boso, ogień do rozpalenia w kuchni pożyczaliście u sąsiada, często jedliście bez soli, a dzieci wściekły wychowywały się w błocie na drodze. Dziś macie mieszkanie dwukondygnacyjne z podłogą, macie własnego konia, dwie krowy, owce, cielaka, 20 kur, 14 kaczek, 4 gęsi i pięć prosiaków w chlewie; przed każdym Bożym Narodzeniem, przed każdą Wielką nocą i przed każdym znanym bójcem tucznika. Nie gorzej, ale lepiej wam dzisiaj. To fakt, w biedolecie tkwi w tym, że obywatelka po pierwsze zapomniała i nie umie odróżnić dziś od wczoraj, po drugie obywatelkę dziś jest stać jak i każdego z nas na zakupienie czegoś i nie zawsze to coś i w tej ilości któryś nabyć, po trzecie w tym kupowaniu tylko nieliczni a dzisiaj każdego stać. Ale dać kurze grzędę, to wola, jeszcze wyżej sięga. Apetyty i potrzeby rosną tak szybko, że ich od razu zaspokoić nie można. Jak wyjść się tu budowlani? toście musieli trochę pasza zaciągnąć. A nasza Polska Ludowa też się buduje i to jak!”

„E, co ona tam wie — odezwał się pod adresem żony gospodarz. — Jak już ma być ta masowa odstawa to i ja tam coś doruczę i pogonię skłape za innymi”.

„Nic nie doręczajcie! — odezwał się Bejger. — To nie jest damina na poprawienie dzwonnicy czy odmalowanie jakiegoś światła. Państwo Ludowe, plany naszego kraju nie idą do was z żębraniem, tylko państwo ma prawo domagać się od was spełnienia obowiązków, dania klasie robotniczej i miastu chleba, klasie robotniczej podparcia do dalszej twórczej pracy. A sobie uczynicie jedno z prawdziwych zadowolonych duchowych, że umiecie odwieść uwagę znowej odrodzonej Polsce za to, że was uczyniła gospodarzem i człowiekiem”.

Gdy wchodziliśmy do domu, gospodarz podał nam rękę od zewnątrz, gdy wychodziliśmy, podał ją z lekkiem uścisnięciem.

Jesteśmy na Jankowie, rozleśleli wsi z porzucanymi srokiem po sosnowym lesie domostwami, na ziemi piaszczystej i mało urodzajnej. Nogi się psu po piachem usuwają, ciężko jest iść, ale jakoś docieramy od domostwa do domostwa. Wchodzimy do domu ob. Kotarskiego, którego nie zastajemy, zato wita nas ob. Kotarska dość uprzejmie, wychodzi przed siebie i woła: „stary, chodź tu”. Przekonujemy się, że ten „stary” nie jest wcale starym ani latami, ani duchem, bo tak samo jak i inni na Jankowie chętnie się godzi wziąć udział w masowej czerwonej odstawie zboża i ziemniaków, nie jest tylko tego pewny czy będzie muzyka, bo to, dodaje, pobudza innych do spełnienia obowiązku i budzi ich z opieszałości. Nie tylko sam zboże odwiezie, ale dodatkowo wzywa do spełnienia obowiązku bliźniego krewniaka zamieszkałego na tej samej gromadzie. Ob. Kotarska także ma coś do powiedzenia. Mówi, że poprzednia odwózka zboża dała jej sposobność spłacić podatek gruntowy i Społeczny Fundusz Oszczędno-

Gazetka gminna

O LZS-ie słów parę

Kiedy prezes naszego LZS-u w Kurzeszynie dowiedział się, że jego drużyna ma grać o puchar przechodni z LZS z Bobkowa — natychmiast zwołał nadzwyczajne zebranie pilkarzy.

— Słuchajcie no, chłopaki — zaczął prezes. — Wy mi tu, tego, buty sadem smarujcie i piłkę kopcie, bo w przyszłą niedzielę z bobkowiakami gramy.

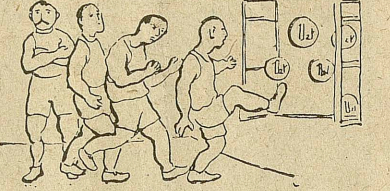
— Już ty, Wiciuś, o nas się nie strachaj! — odrzekła na to rezydentka drużyna. Spuścimy im takie smary, że kopę lat popamiętają!

— No, to jedna rzecz załatwiona! — odsapnął z ulgą prezes. — Teraz tylko przygotować boisko...

— Boisko od dawna już gotowe — przerwał mu kapitan drużyny. — Wystarczy tylko wapnem linie pokropić...

— No, to damy ci wapno i krop — zaproponował mu prezes.

— Ja?! — zdziwił się tamten. Ja jestem kapitanem ale od kopania piłki, a nie od kropienia wapnem!



Ponieważ inni LZS-owcy również okazali się tylko od kopania piłki, a prezes nie mógł być przecież od nich gorszy — uchwalono zapłacić 100 zł staremu Kusiakowi, aby ich w tej skomplikowanej czynności wyręczył.

— A teraz sprawa reklamy — ciągnął dalej prezes.

— Jakiej znów reklamy? — zdziwił się sekretarz. — Przecież i tak

wszyscy w całej wsi o tym wiedzieć będą.

— Glupsi! — orzekł krótko prezes. Wiedzieć, owszem, będą! Ale muszą o tym jeszcze przeczytać. Dlatego potra paręnaście afiszów wydrukować i po wsiach rozlepieć. Tak, jak to robią przed każdym meczem w Łodzi albo w Rzgowie.

— Racja!!! — poparła go chórem drużyna.

— Ale po co zaraz drukować... — perswadował sekretarz. Przecież to koszt galanty, a Franuś Kuciak mógłby kredkami taki afisz jak nie narysować...

Ale członkowie drużyny oszdzili inaczej. I znowu poszło 100 zł na druk 10 afiszów. Kiedy zaś były afisze, to trzeba było, a także, rozlepieć. A ponieważ, jak już wiadomo, LZS-owcy z Kurzeszyna byli tylko od kopania piłki, więc trzeba było na to wyasygnować dalsze 100 złotych.

A wiecie jaki był wynik tego wszystkiego? Podwójna porażka! Pierwsza, sportowa, wyniosła 5 goli do zera, które im tak mimochodem wbił bobkowiacy. Druga, finansowa, wyniosła 300 zł i poszła na opłacenie kosztów pierwszej.

W związku z tym pod adresem niektórych LZS-ów nasuwały mi się pewne pytania:

1. — Czy to aby naprawdę mecze drużyn wiejskich rozgrywane w małych miejscowościach „muszą” mieć tak kosztowne „reklame”?

2. — Czy takie postępowanie nie jest marnotrawstwem pieniędzy publicznych?

3. — Czy czy nie należałoby raczej wykonywać pewnych czynności przygotowawczych we własnym zakresie, a zaoszczędzone w ten sposób pieniądze zużyć na sportowe potrzeby LZS-ów?

Andrzej Grobelny

O tym jak Jasio w GRN
ze świecą szukał

Jasio Zielenisty posiada w naszej wsi półtora hektara gruntu, z dobre pół tuzina dzieci, ale w ogóle jest taki jakiś niaki. Ot, co byś mu ino nie powiedział, on zaraz wszystko za prawdę bierze. Przez co niedługo kłopotu już przyczynił i pewnikiem nie raz jeszcze przyczyni. Ale o tym kiedy indziej.

Otóż, idę ja sobie niedawno w sam południe z sąsiedniej wsi po grobli, co oddzielała dawniej dworskie stawy. Piszę, proszę Redakcję, a w niej, bo dziś zamyka stawy a w tam ino niegorsze błotko, porośnięte szuwarami, gdzie ryby ani na lekarstwo nie widział. To żem też zdziwił się niemało, gdy zobaczyłem w jednym takim bajorku Jasia Zielenistego. Brodził, nieborak, w błocie po łudki, w jednym reku trzymał podrywkę na ryby, a w drugim — świecę!

— Co ci to, powiadam, Jasiu, do jba strzeliło, że w biały dzień po tym bagnie ze świecą łazisz?

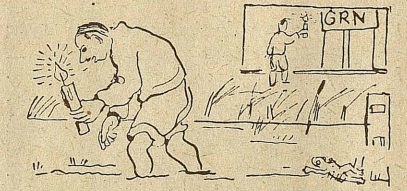
— A bo, widzisz — on mi na to — chciałem w naszym GS-ie trochę ryby nabyć dla dzieciaków kupić. A tam mi powiadają: „Już sprzedaliśmy. Przyjdź Jasiu za 4 dni”. A ja na to: „Za 4 dni dopiero? Abo to mało stawów w gminie, że ryb wam brakuje?” Na to oni się ino ośmieli i powiadają: „To idź i łap, jakieś taki mądry! Ale w naszych stawach ryb ze świecą szukać trzeba!” No to wzią-

łem świecę i szukam. Ale jakoś nie a nie znaleźć nie mogę...

— Oj Jasiu, Jasiu! — powiadam i głową tylko kiwam. — Ciągłe ci ino kłębienie w łbie! Zamiast tu po północy w bagnie sterczeć, lepiej byś tak do naszej Gminnej Rady Narodowej poszedł i tam ze swoją świecą poszukał kogoś, kto by czytał a chwalać Rządowi o konieczności rozszerzenia gospodarki rybnej! I kto by się poczuł odpowiedzialny za doprowadzenie tych stawów do porządku, a także za ich zarybienie! Ot, co...

Wymknęło mi się to tak niby niechcący, ale on spojrzał na mnie jakos tak bystro, podrapał się po brodzie i jak ino hulnie na brzeg! Ażem się zląkł. A on nogawki od portek spuszcza i powiada:

— Dobrze, Franuś, mówisz! Zaraz tam pójde.



I poszedł. Tak jak stał. Ale, proszę Redakcję, chociaż w tym GRN z Porzekadłem też ze świecą szukał, to jakoś takiego, co by o uchwale Rządu i stawach pamiętał — nie znalazł.

Franciszek Gwizdała

Można dać radę

Dam dwa przykłady. Bronisław Niechciał z gromady Stradlice (pow. pinczowski) ma 3,5

ściowy, a kontraktacja tuczników dała jej potrzebny węgiel, wobec tego życzy sobie, ażeby w jej imieniu zaapelować do wszystkich żon gospodarzy na terenie gminy, ażeby kontraktowały tuczniki, bo ona nie widzi większej korzyści dla gospodyń od tych, jakie osiąga się w kontraktowaniu tuczników. Kotarscy należą do średniorolnych, ale należą także do tych, którzy nie czekają co i jak ich ziemia urodzi — oni walczą o to, żeby ich ziemia rodziła.

Dzień 23-go listopada był zwykłym powszednim dniem, ale całkiem innym dla mieszkańców gromady na terenie gm. Jastrzębia i miasta Lipna. Już przed dwiema godzinami rano poczęły na gromadach, Konotopie, Kolankowo i Jankowo, stać wozy rzędem jeden obok drugiego. Na jednych wozach widniały worki ze zbożem, na innych ziemniaki. Na czele szły, muzyka i transparenty. Wozy turkotały szosą i ulicami a podkute konie uderzały w kamienie jakby w tańt muzyki. Długi sznur wozów zwał się ku budynkom spółdzielczym. Rezultat: 10.201 kilogramów zboża i 10.138 kilogramów kartofli z 46 wozów.

Będzie to zwolnieni od miarek i odsypu przy przemiale ziarna na chleb. Ale najważniejsze to ten zaszczyt przed całym krajem. I bez wątpienia ręka przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy ob. Rótkoego spracuje się od podpisania założeń podjętych dla naszych rolników za spełnienie obowiązków obywatelskich przy budowie lepszej socjalistycznej ojczyzny.

Seweryn Skulski
Karkonow, pow. Lipno

Konstanty Świderek

Bogacki adwokat

Kochana Gazetko, dużo czytam o dzielnych sołtysach co to w różnych stronach kraju przyczyniają się waleśnie do wykonania skupu zboża. Czytałem o sołtysie Józefie Stefańskim z gromady Antonów, gdzie wszyscy chłopcy spłacili już zaległy podatek. Czytałem i nie dziwiłem się, bo w kwitariuszu spłat podatków na kwiecień Nr 1 widnieje nazwisko sołtysa. Czytałem o sołtysie Wiktorze Jarzabku z Marynowa i sołtysie Stanisławie Twarogu z Zalesia i o wszystkich dziesięciu sołtysach z gminy Brzezie, pow. Lublin. A najbardziej to zadziwiłem chłopcom gromady Kalinów w powiecie strzeleckim, którzy mówią: „nasz sołtys chodzi w w spódnicy ale obstoi za kilku chłopów”. Taki dobry jest ten ich sołtys, co się nazywa Anna Szczędzina.

Zadziwił się tym chłopcom, bo nasz sołtys wcale nam się nie udał. Nam, to znaczy matorolnym i średniorolnym w Broniewie gm. Orońsko pow. Radom. Bo taki Bebenek albo Jaworski to go sobie chwala. Jakżeby nie! To przecież kilkunastohektarowy gospodarz, a nasz sołtys Wojciechowski to taki dobry człowiek, że bogacza to by przez ucho igielne przecisnął, tak jak przeciska Bebenka i Jaworskiego przez planowy skup zboża. Nie chciało się Bebenkowi ze swoich dwudziestu i iluś tam mórg odstawić zboża, wystarczają, żeby się poskarżył Wojciechowskiemu, a Wojciechowski już okulary na nos wsadza i radę wynajduje. I zaraz potem okazuje się, że nie ma dużego pola Bebenka, są za to dwa małe — jego syna i córki i na tej podstawie sołtys wyznacza mu do odstawy zaledwie 5 q zboża to znaczy mniej niż takiemu Lucjanowi Szparcie, który posiada trzy hektary a odstawił mimo 8 q. Ta sama sztuczka z Jaworskim, któremu wypadło odstawić tylko 4 q zboża, mimo że ma pole nie mniejsze chyba, niż Bebenek.

Kulacy bardzo sobie chwala sołtysa Wojciechowskiego i schlebają mu, że powinien rejentem być, albo radcą prawnym.

Wielka szkoda, że ta dobroć i talent prawniczy opuszcza naszego sołtysa, gdy chodzi o matorolnych. Kiedy po śmierci matorolnej chłopki Tomczykowej nastąpił faktyczny podział gruntu między jej dzieci, sołtys Wojciechowski, mimo świadków i dokumentów nie chciał tego uznać strasząc w dodatku chłopów, że od jego decyzji nie ma odwołania.

Jan Skalski

Smutne dzieje
pewnego aparatu

Strasznie przykroło się kierownikowi naszej szkoły w Zajączkowie, obywatelowi Gajewskiemu bez raria, bo, panie święty, jesień idzie i zima, błoto, dni krótkie, zgnije człowiek w tym Zajączkowie, a przecież, panie święty, człowiek swoje potrzeby kulturalne ma, a tu się wśród chłopów marnuje.

Wprawdzie jest w Zajączkowie świetlica, gdzie obywatel Gajewski mógł kulturalnie promieniować i ludzie są chętni, ale obywatel Gajewski woli kulturę zamknąć w czterech ścianach swojego pokoju, podobnie jak zamknął radio, ale nie uprzedzamy faktów.

A fakty są takie: żeby naszą świetlicę ożywić, my, matki z komitetu rodzicielskiego zorganizowałyśmy zabawę i dochód z tej zabawy przeznaczyłyśmy na kupno aparatu radiowego. Ponieważ był trochę uszkodzony (za to mniej kosztował) członek naszego komitetu, ogólnie szanowany obywatel Stefan Brożyna, który jest kierownikiem Agencji Pocztovej podjął go się go naprawić i po naprawie przekazał kierownikowi Gajewskiemu, niestety, kierownik Gajewski „zapomniał” aparatu przekazać świetlicy. Od tego dnia kierownik Gajewski przestał się nudzić, za to my słuchaliśmy radia przez dziurkę od klucza. Jak kto miał dobrać słuch to czasem coś usłyszał, jak przez słuchawkę, ale ja jestem przygłucha i nic nie słyszałam, prócz miauczenia koka kierownikowego.

Tymczasem kierownik tak długo galką odbornika kręcił aż coś przekręcił i lampy się spaliły. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że oprócz niego istnieją w Zajączkowie inni amatorzy radia i ogłosił publiczną zbiórke na nowe lampy. Ta cywilna odwaga i tupet obywatela Gajewskiego nie przyniosły co prawda spodziewanych owoców, ponieważ ludzie odmówili kupienia kierownikowi lamp, ale właściwie, to nie miało znaczenia dla kierownika, bo za pieniądze społeczne Komitetu Radiofonizacji Kraju, kupił sobie nowe radio.

Tymczasem ludzie zniechęcili się do pustej i głuchej świetlicy — głuchej, bo radio rzęło u kierownika, bo kierownik jest osobą kulturalną i naprawdę oddaje się kulturze, tylko że, kameralnie. Taka prywatna inicjatywa czyli sobok.

Myszę, że takich kierowników jak nasz, jest w Polsce na szczęście niewiele, ale może jeszcze znajdzie się tu i ówdzie równie kulturalny i pomysłowy. Dlatego, Gazetko Gminna, wydrukuj ten list. Może w takich wypadkach wylumaczony odczytanie niektórych świetlic są puste i głuche i dlatego radia się psują...

Maria Skurczyńska

STANISŁAW KLIMEK

Trudności terenowca

Niedawno wysłaliśmy w teren jednego z naszych terenowców, który literatę. Bardzo zdolny chłopak i naprawdę spozregawczy, jak się później okazało.

Początkowo nie chciał jechać.

— Dajcie spokój, żartujecie, ja w teren? Wyrosłem już z tego, to dobre dla zabójczych pisarzy.

— No, no, teren odświeża.

— Ech, ja teren znam, że tak powiem, jak własną kieszeń. Nie pojedę — odpowiad.

— No to w takim razie pojedzie Józio, a was wysłamy do teatru na sztukę kolegi S. Napiszcie recenzję.

— O, co to, to nie, wole jechać choćby w dżunglę. Zresztą Józio... on sobie nie da rady. Tu wiecie, trzeba mieć metodę i podejście.

— Zaraz, nie przypominam sobie żebyście w ostatnich czasach bywali na wsi.

— Co też redaktor, całe lato, co niedziela na raki do Wólki jeździłem.

Chciałem mu dać instrukcję, ale oburzył się.

— Mnie? Ja mam metodę i podejście. Wicie — szepnął mi do ucha: podam się za przedstawiciela PZGS-u, to jest pomysł, co?

Umiłkiem. No i pojechał.

Wrócił na trzeci dzień. Dał mi znak, że chce mówić w cztery oczy. Zamknęliśmy się w drugim pokoju.

— No...

Stefcio machnął ręką.

— Materiały! — rzekłem surowo.

Zaśmiał się histerycznie. Potem dopadł do mnie i ucepił się klapy mojej marynarki.

— Okropność! To już nie tamta wieś. — Wszystko mi się pokreśliło. Ciemna masa i mgła. Jak tu pisać redaktorze!

Spojrzałem podejrzliwie.

— Czekajno bracie, ty coś kręcisz, opowiadaj po kolei jak tam było. Stefio opadł bezsilnie na kanapę i zaczął opowiadać.

— No więc jak przyjechałem, poszedłem do prezesa GS-u. Ale go nie było, bo był u sąsiada. Poszedłem i ja do sąsiada. A oni jak zobaczyli, zaraz do mnie, żebyśmy się soczku i ziółek napił, bo — mówią — macie katar i gadacie przez nos, to wam przejdzie i zaraz was rozbież.

Siedziałem więc i piłyśmy ten soczek i ziółka aż mnie rozebrało. A jak mnie rozebrało to gospodarz woła na chłopaka:

— Antoś, dymaj do Pawlika po salceson.

— Tu mnie coś tknęło.

— Co za salceson — pytam podejrzliwie.

— A oni śmieją się.

— Ano — powiadają — Pawlikowi w stębnia była niezdrówia! Musiał ją dobić.

— Co jej było, różyczka?

— E, nie, z otuszczenia na serce ciępiła, ruszać się nie mogła. Pawlikowi żal się jej zrobiło i jej cierpienia skrócił.

— A nie mógł ją spółdzielni sprzedać?

— Widzicie, nie mógł, za tłusta była — wytłumaczył mi życzliwie — miała sto dziewięćdziesiąt wag żywcą, a u nas powyżej sto pięć nie kupują.

— Niby dlaczego?

— Ano nie ma odpowiednich odważników. Waga jest dziesiętna, a mają tylko jeden dziesięciokilowy ciężarek i suwak u góry na pięć kilo... tak że tylko 105 kilo zważą a więcej już nie.

— Więc wyrażilem ubolewanie z powodu takich obiektywnych trudności i uszyscy zaczęliśmy użalać się nad Pawlikiem i jego żoną.

Po chwili wpada Antoś z salcesonem i krzyczy:

— Tata, przywieźli i pan kierownik prosi abyście pomogli rozpakować.

Moich gospodarzy od razu poderwało Balem się, żeby mnie nie zostawił i mówi:

— To może i ja bym poszedł.

Spojrzałem na mnie krytycznie.

— E, lepiej być pan, zostań, ubłosisz se lakiery.

— Ale gdy nalegałem, poszeptali a prezes powiada:

— Wyrobiony politycznie, niech idzie.

Okazało się, że idziemy do gminnej spółdzielni. Weszliśmy od kuchni. Podobno materiały przyjechały. Ponieważ w spółdzielni było trochę ludzi, więc ich kierownik wyrzucił, bo mówili: jeszcze im się do ręki pylepi. Zamknęliśmy drzwi i zaczęliśmy rozpakowywać towary. Prezes przyszedł spóźniony, gospodarz chwycił na głowę, a kierownik bieliznę damską — bo, widzicie, mówili, trza rozmiar sprawdzić, czy się na naszych ludzi nada.

Ze trzy godziny żęśmy tak rozpakowywali. Ale dłużej nie można było, bo się ludzie do drzwi sklepu zaczęli okropnie dobijać i krzyczeć.

— Trza się poświęcić — postanowił gospodarz ze złotymi zębami — weźmiemy te lachy do domu na przechowanie. Tu by ludzie rozkra-

dli. Słyszysz pan jak biją? Tylko paręć jak do sklepu wpadną. Wysłaliśmy cichaczem tylnymi drzwiami przez chlewy. Takie trudności redaktorze.

— A w dziedzinie oświaty też trudności. — Stwierdziłem powrotny analfabetyzm wśród bogaczy. Nie umieją przeczytać doreczanych przez sołtysów zobowiązań, sam widziałem jak jeden czyta do góry nogami... Tak, tak, ciemna masa i mgła, redaktorze.

A co do skupu to cały dramat, postuchajcie. Nie było gdzie zsyłwać.

— Magazyn zapchany aż po sufit...

Rano poszedłem na punkt skupu. Przyszli chłopci dowiedzieli się, czy już jest miejsce w magazynie. Magazynier ręce rozkłada.

— Nie ma, bo PZGS nie odbiera.

Kiedy zaś chłopci nastawali, wyjął pokazywać na mnie:

— Ten pan jest z PZGS, to wam wytłumacz.

Niestety musiałem widać tłumaczyć bardzo nieprzekonywująco, bo ocknąłem się nazajutrz na biurku przewodniczącego GRN, jako dokument cokolwiek zbyt krewnego oburzenia ludu, na stosie innych aktów. Jak się okazało, była to korespondencja z PZGS w sprawie odbioru ziarna. Na głowie miałem okład z pęcherza wieprzowego z czymś zimnym w środku.

Może byłoby ze mną jeszcze gorzej, ale na szczęście któryś z praktyczniejszych oprawców przeszkadzał moją tezkę i poza skarpetkami tuż przed szczytką do zębów nie znalazł żadnych insigniów urzędnika z PZGS. Wobec czego dobrze ludzie zanieśli mnie do Gminnej Rady, gdzie wystawiono mnie na widok publiczny, celem stwierdzenia tożsamości. I pisał tu reportaż, redaktorze!

Chciałem stamtąd jak najprędzej wyrwać, ale przewodniczący krzyknął za mną:

— Łapajcie, dowód rzeczowy nam ucieknie.

— Co tam znowu — pytam w strachu.

A sekretarz Komitetu Gminnego wyjaśnił.

— Nic strasznego. Po prostu do brzo trafiłście. Właśnie po długich wysiłkach zdemaskowaliśmy w końcu kumoterską machlojkę — a że i wy mieliście szczęście to i owo na własne oczy zobaczycie — to i za świadka musicie stanąć.

Doprawdy nie bardzo wiedziałem, o co mu chodzi — no ale na wszelki wypadek poczułem się bardzo dumny.

Potem chodziliśmy po gminie. A ja tylko oczy przetrzeierałem, bo, mówię wam, w niczym nie mogłem się polapać. Wszystko wyglądało inaczej niż wczoraj. Materiały leżały na półkach w gminnej spółdzielni a ludzie bez ścisła po kolei odbiórali. Z PZGS-u przyjechali po zboże i w magazynie znalazło się więcej. Kulacy przez ten jeden dzień nauczyli się czytać. A odważnicy też się znalazli; nie chciałem wierzyć, więc mnie wzięli i uwierzyłem.

— Ale teraz to ja już nic nie rozumiem, redaktorze, przez jedą noc takie zmiany? To chyba jakiś zakłócenie mojej percepcji.

— Aha, percepcji — mruknąłem.

Wprawdzie sekretarz mi tłumaczył — ciągnął reportażysta, że walka trwała tam dawno, że te przemiany narastały tam nie od dziś i że nie wszystko było tak czarne jak mnie się zdawało — no, ale rzecz właśnie w tym, dlaczego mi się zdawało? Przecież mam oczy i uszy. Ja myślę, że to wszystko to kwestia psychologii, samopoczucia i pogody. Bo akurat jaśmym szli przez wieś wyjrzało słońce z chmur i zrobiło się nagle ładnie i wesole...